

Czy pod właściwym adresem ?

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok V. ŁÓDŹ, 15. IV. 62 r.

Nr 15 (215)

Cena 1 zł

WIESŁAW
JAŻDZYŃSKI

Przypowieść
o
JÓZEFIE
KOWALSKIM

W jednym z ostatnich numerów „Odgłosów” ukazał się artykuł p. Ewy Sulborskiej pt. „Bijemy na alarm”. Najogólniej rzecz biorąc dotyczy on wyjątkowych trudności lokalowych Wyższej Szkoły Teatralno-Filmowej. Autorka przytacza szereg argumentów rzeczywiście nie do odparcia. Wspomina mianowicie wysoki poziom szkoły, pisze, że jest ona jedyną tego rodzaju szkołą w Polsce, cieszy się pozytywną opinią za granicą, można by więc przyjmować więcej studentów innych krajów, którzy — jak wiadomo — placą w dewizach, co nie jest bez znaczenia.

Z tymi argumentami trudno się nie zgodzić. Jakżeż było jednak moje zdziwienie, gdy końcowy postulat o jak najszybsze dopomożenie szkole w rozwiązaniu jej trudności lokalowych, skierowała autorka... pod adresem władz terenowych.

Sięgnijmy trochę do historii. Łódź pozbawiona przed wojną wyższych uczelni, podjęła w pierwszych latach po wyzwoleniu ogromny wysiłek w ich zorganizowaniu i zabezpieczeniu niezbędnych warunków rzeczowych. Ówczesne władze miasta rozumiały, że wobec ogromu zniszczeń wojennych trzeba liczyć przede wszystkim na własne siły i rzeczywiście robiły co mogły. Przekazywano więc nowe powstającym uczelniom budynki szkolne (np. gimnazjum Zgromadzenia Kupców), budynki fabryczne i inne. Ale stworzona początkowo baza nie wystarczała. Przekazywano więc szereg dalszych obiektów, np. budynki przy ul. Buczka, Składowej, Kościuszki 4, Zachodniej 81 itd. Wólczańskiej (obecny gmach chemii spożywczej Politechniki Łódzkiej) i inne. Wynika z tego — jak sądzę — jasno, że władze miejskie na przestrzeni wielu lat usiłowały stwarzać uczelniom w miarę możliwo-

ści jak najlepsze warunki, powołane troską o rozwój kulturalny Łodzi, o zapewnienie jej odpowiedniej rangi jako drugiemu co do wielkości miastu w Polsce. powodowały się wreszcie interesem całego społeczeństwa, które wysoko cenilo wzrastający z roku na rok dorobek łódzkiego ośrodka naukowego. Ustawowy je nak obowiązek troszczenia się o rozwój uczelni, a więc budowę pomieszczeń, wyposażenie laboratoriów i zakładów spoczywał i spoczywa do dziś na ministerstwach: Szkolnictwa Wyższego, Zdrowia i Opieki Społecznej oraz na Ministerstwie Kultury i Sztuki, któremu właśnie podlegają Wyższe Uczelnie Artystyczne.

Postawmy więc pytanie: jak wyglądała ta opieka ministerstw? Pierwszą poważniejszą inwestycją Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego, poza budową domów akademickich, był pawilon włókienniczy Politechniki Łódzkiej, następną zaś — piękny gmach biblioteki uniwersyteckiej. Jeżeli do tego dodać, że Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego przeznaczyło w obecnym planie pięcioletnim na inwestycje w Łodzi (nie licząc nakładów na wyposażenie, remonty, adaptacje itp.) 120.000.000 zł, to można by stwierdzić, że zrobiono poważny krok w kierunku poprawienia istniejącego stanu.

Znacznie gorzej sprawuje się Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej. Poza budynkiem farmacji, którego budowa zresztą przedłuża się, ze świecą szukać innych cenniejszych pozycji. Budowa wielkiego 600-lóżkowego szpi-

Dokończenie

na str.

7



Alina Jurewicz, aktorka Teatru 7,15 — debiutowała w komedii „Grunt to rodzinka”

Kiedy Józef Kowalski urzędował za biurkiem pod portretem dostojnika państwowego, wydało mu się, że go wystroili w niewidzialny uniform. Czuł się jak cząstka jakiejś większej całości, która wykonuje określone zadania, owszem ważne i bardzo pożyteczne. Kowalski planuje wraz z innymi produkcje, ustala wskaźniki, godzi zwaśnionych kooperantów, pyta co rano szefa o zdrowie szanownej małżonki, szkoli się wraz z innymi, protestuje przeciw kolonialistom i podżegaczom, cieszy się z zasłużonej premii, próbuje usprawnić pracę na powierzonym mu odcinku, zasypia na mniej ważnych zebraniach, plotkuje cichcem o innym Kowalskim, który jest lizusem, słowem nasz Józef — wojskowy, robi Polskę na miarę sił i możliwości.

Po ośmiu godzinach praca kończy się i Józef wojskowy

Na terenie Łodzi pracuje 268 terenowych grup partyjnych, które skupiają ponad 1.000 aktywistów.

idzie do cywila. Biurowy uniform wiesza na kołku, u siebie w domu nie jest już częścią lecz całością. Gra jego radio, lub telewizor, szczeka jego pies, śpiewają jego kanarki, karmi swoje króliki, pokrzykuje na własną żonę. Kowalski cywilny, Kowalski prywatny, we własnym, zatamizowanym świecie. Nie ma przecież jednego świata, jest ich tyle ilu doliczymy się Kowalskich.

Jednakże na ten małego i własny świat czyhali zamachowcy. Np. Zarząd Budynków Mieszkalnych. Niby mają porządek palić, reperować kaloryfery, a jak zima przyjdzie człowiek marznie. Albo wiosna, pora bardzo ładna, ale w dzielnicy Kowalskiego błoto po pas. Magistrat, jak magistrat zawsze ma coś ważniejszego na

Wartość dobrowolnych czynów społecznych, wykonanych przez obywateli Łodzi w latach 1960-61 wyniosła 43.521.000 złotych. Jeżeli dodać udział zakładu pracy otrzymamy sumę — 94.821.000 złotych.

głowie. Kowalski to rozumie, w biurze niejedną raz zapoznawał się z planem przebudowy miasta. Buduje się Dąbrowa, Widzew, Osiedle Młodych, kto będzie myślał o jego Kaczej ulicy? Albo następny tron. Oni też rozbijają prywatne królestwo. Kowalski musi iść wieczerem na uroczystość, Kowalska trzeba zabrać ze sobą, a dzieci nie chcą same zostać. Zna też ma swoje numery. Wyjdzie na chwilę do sklepu po guziki, wraca późnym wieczorem, powiada, że musi aż do śródmieścia jeździć, bo tu na Kaczej i w okolicy sprzedają tylko wódkę i telewizory.

W takich chwilach Kowalski początkowo marudził — Polacy naród zdolny, tylko im organizacji brak, ale broń się przed jakąkolwiek organizacją we własnym królestwie. Tu jest absolutnie neutralny, bezpartyjny, do niczego nie należy i za nie nie myśli odpowiadać. Kiedy

Dalszy ciąg na str. 2

Wszyscy mówią:
rewolucja w ZHP
przezwrot w dotychczasowym wychowaniu

NOWY SYSTEM

ANNA KULIGOWSKA

Andrzej Mazur w artykule wymownie zatytułowanym „Harcerz, czy ci nie żal...” („Odgłosy” 4.X.1959) wręcz negatywnie ocenił był przydatność harcerstwa w nowoczesnym wychowaniu młodzieży. Ale w najnowszym programie ZHP jest naprawdę oddech przyszłości. Krótka charakterystyka nowego systemu brzmi: zespół i zadanie. W przeciwieństwie do indywidualnych wymagań w rodzaju „zna alfabet Morse’a prawidłowo zapakuje paczkę stosując węzły, narysuje z pamięci kontur Polski i na znaczku na nim najważniejsze rzeki, miasta itp.”, które określały poziom rozwoju harcerza, wychowanie w nowym systemie jest procesem kształtowania się człowieka w społecznym działaniu, w rozwijającym się w toku działania zespole. Dlatego program odpowiada na pytania: co robić, jak robić, jak się do pracy przygotować. Dla

młodszych (11-14 lat) jest on zawarty w sprawnościach zespołowych, dla starszych (14-18) — w znakach.

Piszę ten artykuł dla niefachowców harcerskich. Muszę więc koniecznie wyjaśnić podane terminy. Ale najpierw stwierdzenie faktu: otóż do tej pory najczęściej ta drużyna harcerska była najlepsza, w której drużynowy potrafił wymyślić i przeprowadzić jak największą ilość atrakcyjnych zajęć. Przy takiej z góry założonej konsumpcyjnej postawie harcerzy, biedny drużynowy ciągle rozważał problem: jak zorganizować następną zbiórke, aby była ona jeszcze ciekawsza od ostatniej?

Jednak w końcu to zamknięte koło zostało przerwane. Drużyny pracują teraz zdobywając tzw. miana. Miano daje perspektywę, jest sumą zbiorowego wysiłku całego zespołu, oznacza poziom harcerskiego zaawansowania zespołowego. Młodzież młodszą posiada trzy miana: ochotników, tropicieli, odkrywców. Kolejno przyznaje je sobie zastęp po zdobyciu sprawności zespołowych (minimum 5 na każde miano).

Dokończenie
na str. 8



W Łodzi to nie uchodzi MECZ POKOLEŃ

— Po co chodzisz na ten mecz? Wrócić zdenerwowany, wrzeszczeć też musiałeś jak opętany, skoro tak ochrypleś. Zebym w tym wieku jeszcze miał takiego filjola na punkcie sportu — gderają pani Aniela.

— Co ty tam wiesz! — odburknął. — Pewnie, że diabli człowiek biora, kiedy widzi, jak nasz jedyny pierwszoligowy klub zjeżdża na sam dół tabeli.

— Czym ty się przejmujesz, ojciec? A co ci ten cały ŁKS obchodzi? — wtrącił swoje trzy grosze Feliks.

— Jak to co? Jestem łodzińszczyzną, czy nie? Przy takiej opiece państwa i miasta? Co oni sobie myśla?

— Ojciec, co ty? Przecież ktoś musi być na początku tabeli, a ktoś na końcu!

— Ale dlaczego oni? Dlaczego akurat ŁKS? To na siedmiuset-tysięczne miasto nie może być jednej przyswoistej drużyny? I-ligowej? Jak my wyglądamy wro-bec Śląska, Krakowa czy War-szawy? W głowie się to wszystko nie mieści!

— Tata, nie przesadzaj!

— O, właśnie! Nie przesadzaj, nie przesadzaj! Ty się tym tak jak ja nie przejmujesz. I to są właśnie skutki! Dwie sportowy u młodzieży ginie. Wy nawet mecz wolcie w telewizji oglą-dać. Wam tylko motor w głowie, auto, kino, jazz.

— Feliks, nie kłuj się, każde pokolenie ma swoje ideały, swój styl życia, swoje ulubione roz-rywki. Na to się nie nie pora-dzi.

— A ja się z tym pogodzić nie mogę! Sport jest tak samo człowiekowi potrzebny jak wszy-sko inne: jak sztuka, nauka, technika. A poza tym — para-frazując czyjeś tam słowa: Ło-dziakiem jestem i nie co łódzkie nie jest mi obce! Słowo daje, nie mogę zrozumieć obciot-ności Stefana i jego rówieśników na te sprawy! Przecież ja do dziś pamiętam skład ŁKS z tam-tych młodych lat. Takiej defensy-wy nie miała chyba w tym cza-sie żadna drużyna piłkarska w Polsce: Cybil, Karaś, Galecki! Albo w pomocy: Hanek — zryb-ki i ułwidy, nieustępliwy Ga-briel, ubawieniec wszystkich ki-biców, niezrównany gwiazdca — Otto. Pamiętam mecz Turcja — Polska, kiedy chyba ja re-prezentacji stanowią ekasicy.

— Tata znów swoje: pamię-tam, pamiętam. Dawnie to by-ły czasy, dziś wszystko do chłanu, wszystko frajer. Ot i młody duchem przedstawiciel starego pokolenia! Skończ już z tym wybrzydzeniem się. Daw-niej wszystko było lepsze, dziś wszystko do niegasa. Chyba dla tego, że ty byłeś tych głupich trzydziści, czy czterdziści lat młodszy. W tym pewnie cały sekret.

Pan Feliks zamknął na chwilę skonfundowany.

— Nie mówię i nie mówię, że dzisiaj jest gorzej niż było, postęp widac na każdym kroku, ale ze sportem łódzkim nie jest na pewno najlepiej. Wystarczy porównać nasze lokaty w róż-nych dyscyplinach. I to w ta-kich warunkach, przy takiej opiece. W szkołach — sale gim-nastyczne, przyrządy, boiska. Synu, czy ty myślisz, że za moich czasów, na przykład, w szkołach powszechnych były ja-

kieśkolwiek sale gimnastyczne? Moja szkoła powszechna mieści-ła się w ordynarnej czynszowej kamienicy, oczywiście nie ska-nalizowanej. Podwórko małe, brudne, wybrukowane kołmi łbami. W oficynie warsztat rzeź-niczy i ohydne, z daleka cuch-ające ubikacje. Ale w piłkę można grać, a jakże! I z jakim zapamię! Smaclanka na podwórkach, na polach zamie-śkich. A kiedy się już w latach gimnazjalnych dochrapialiśmy do prawdziwego „futbola” co to by-ła za frajda! Albo pływali! Ba-sen? Gdzie? Jeden legendar-ny u Beutlera. Wtedy tylko latem pływano się w gliniankach, ko-rych było wokół Łodzi sporo, na Wolfówce, u Stefańskiego, u Ja-na, na Młynku, w Julianowie.

— Chyba nie chcesz, Feliks, porównać bloków na nowych osiedlach, żeby wrócić mogły glinianki? — wtrącała zgryźliwie pani Aniela.

— Nie, tego nie chcę!

— No to czego?

— Bo ja wiem? Trzeba by się zastanowić. Nie będzie lepiej ze sportem w naszym mieście, pó-ki młodzież szerzej i serdecz-niej sportem żyć nie będzie.

Przecież bez powszechnego, masowego spopularyzowania sportu właśnie wśród młodzieży nie będzie wyników.

Tu pan Feliks zamyślił się głęboko i po dłuższym milcze-niu z jakąś zadumą powiedział:

— Bo ja ci wiem, skąd się to bierze? Może nadmiar opieki, te cieplarniane prawie warunki. Kiedy niegdyś nie potrzebujecie zdobywać własnym wysiłkiem: ani sal, ani boisk, ani sprzętu. Kiedy macie opiekunów, trene-rów, zewsząd zachęty i pomoc. Może to osłabia? Może i kiedy nie widzą całej młodzieży, ale tylko polują w szkołach na ta-lenty, primabaleriny, którym się daje „dodatki na dożywienie”, funduje różne drogie obozy, w których jak w inkubatorach ma-ja dojrzewać przyszłe gwiazdy? Może i szkoły niepotrzebnie baw-ia się w jakieś MKS, w któ-rych ginie zdrowie, lokalny pa-triotyzm każdej uczelni?

Nie wiem. Niech o tym myś-lą ci, którzy za to odpowiadają. Ja mam swoją pracę!

— E, no, Feliks! Zawsze mia-łam cię za rodzica-aktywistę. A w tej sprawie wycofujesz się? W przyszłym tygodniu — wywi-adowka, pogadaj o tym z dyrek-torem szkoły, z innymi rodzica-mi. Może coś wymyślicie? — Oho! Nowe zadanie bojowe! Już mnie zapała! Może jeszcze ka-żesz mi zorganizować mecz: Rodzice kontra Dzieci?

— A gdyby tak? I to w róż-nych dyscyplinach sportowych.

— Dobrze! Ale w obu płciach: Młodzi — Córki, Ojcowie — Sy-nowie. Widowski byłoby fan-tastyzmem!



Ojciec
Virgiliusz



Fot. L. Olejniczak

— W okresie swej 60-letniej działalności prawniczej pełnił Pan Profesor tyle zaszczyt-nych funkcji, że na samo ich wyliczenie potrzeba byłoby dwa razy tyle miejsca, ile możemy przeznaczyć na na-szą rozmowę. Od jak dawna związany jest Pan z Łodzią?

— Od 1945 roku byłem ko-lejno: profesorem zwyczaj-ny i kierownikiem katedry polityki kryminalnej i prawa karnego porównawczego UL, kierownikiem zakładu prawa karnego wykonawczego UL, członkiem Łódzkiego T-wa Naukowego, inicjatorem i kierownikiem Łódzkiego Ośrod-ka Naukowo-Badawczego za-gadnień wykonawczych pra-wa karnego, ŁONB polityki kryminalnej i prawa karnego porównawczego, wiceprezesem Łódzkiego Komitetu Obronców Pokoju, po dziś dzień też, mimo iż jestem już na eme-ryturze, biorę czynny udział w pracy naukowej. Nie mówiąc już o sądownictwie, któremu poświęciłem pół wieku swo-jego życia, pełniąc w nim róż-ne wysokie i odpowiedzialne funkcje.

— Jakie są zadania pro-wadzonej obecnie przez Pana placówki?

— Umocnienie współpracy między praktycznie doświad-czonymi teoretykami-penalista-mi, naukowo przygotowa-nymi praktykami. Jest to szcze-gólnie ważne zwłaszcza obec-nie, kiedy to etatowo i zawo-dowo kariery prawnika uni-wersyteckiego, sądownika, prokuratora lub adwokata, czy też administratora zostały o-słabione, z ważkich powodów, zróżnicowane. Życie naukowe jednak i interes państwa wy-magają, aby ten rozdział za-wodowy w prawnictwie pol-skim na naukowców i prakty-ków nie przeobraził się w cał-kowite odosobnienie.

— Kto, mam na myśli skład organizacyjny, stanowi kadre ośrodka?

— Poza kierownictwem i przedstawicielami instytucji popierających, tj. UL i ZZZ, w skład wchodzi rzeczniczy in-formacyjny i kuratory sąd-owi, członkowie zebrania plenar-nych z wielebnictwa, proku-ratury, Akademii Medycznej,

ROZMOWA ODGŁOSOW Z:

prof. dr. EMILEM STANISŁAWEM
RAPPAPOREM

KIEROWNIKIEM ŁÓDZKIEGO OŚRODKA NAUKOWO-BADAWCZEGO POLITYKI KRYMINALNEJ I PRAWA KARNEGO PORÓWNAWCZEGO, HONOROWYM CZŁONKIEM MIĘDZYNARODOWEGO ZRZESZENIA PRAWA KARNEGO (AIDP), NAJSTARSZYM PRAWNIKIEM-PENALISTĄ W ZASIĘGU MIĘDZYNARODOWYM.

O:

- łódzkim eksperymencie prawniczym nowego typu, politycznych funkcjach KK
- moralności publicznej w pojęciu prawa,
- współdziałaniu społeczeństwa z władzami.

Ministerstwa Sprawiedliwości i innych oraz konsultanci nau-kowi — członkowie LTN: prof. dr R. Bierzaniek (prawo międzynarodowe), prof. dr J. Szczępański (sociologia UL), prof. dr J. Litwin (prawo ad-ministracyjne), prof. dr S. Truchin (pedagogika), i doc. dr Z. Izdebski (prawo pań-stwowe). Jak więc Pani wi-dzi, jest to skład o szerokiej specjalizacji i kompetencjach.

— Czy eksperyment łódzki zdaje egzamin?

— Zdaje w codziennej prak-tyce naukowej i sądowej prawników łódzkich. Nie zmniejszające się grono ucze-sników korzystających z us-lug i pomocy Ośrodka jest najlepszym dowodem, że ta jedyna w Polsce placówka jest w życiu bardzo potrzeb-na.

— Jest Pan Profesor współ-autorem kodeksu karnego z 1932 roku, obowiązującego i dziś jeszcze. Czy uważa Pan, że w aktualnej sytuacji społeczno-politycznej jest on już nieco przestarzały?

— Stary KK był postępowy w ówczesnej dobie, ale dziś już nie wystarcza. Nie ma w nim odbicia socjalistycznych teorii prawa i moralności, u-kładu stosunków społecznych, państwa budującego socjalizm, nie ma części szczególnej, traktującej o przestępstwach spotykanych w okresie bu-downictwa socjalistycznego. Sąd pilna potrzeba nowego KK, nad którym od dłuższe-go czasu trwają już prace.

— A propos nowej moral-ności. Jak można skonkrety-zować prawną istotę dzisiej-szej moralności społecznej?

— Kodeks karny służy mo-ralności publicznej, ale z mo-ralnością jako taką ma nie wiele wspólnego. Moralność nie posiada bowiem funkcji przymusu społecznego.

— Może niezbyt ściśle wy-rzuciłam się, miałam na myśli różnice, jakie zachodzą w mo-ralności publicznej społeczeń-stwa burżuazyjnego a socjali-stycznego...

— W ustroju burżuazyjnym moralność jest pojęciem ko-laryzującym się z jednostką. Nie ma tam pojęcia moralności społecznej, albo jest pojmo-wana w bardzo wąskim za-kresie. Poza tym u nas pew-

ne pojęcia moralne objęte są przez prawo i określone jako zjawiska zakazane, np. nierobstwo, brakerobstwo itp. Zjawiska te podlegają różnym formom analizy prawnej, up-sądom robotniczym.

— Czym należy tłumaczyć, że w 17-tym roku kształtowa-nia się nowej moralności spo-łecznej istnieją u nas takie zjawiska, jak chociażby bier-ność obserwacyjna obywateli w stosunku do grożącego albo nawet popełnionego przestęp-stwa?

— Trudno się temu dziwić. Przecież obywateli nie jest stworzonych na miarę odważ-nego społecznika. Aby takim zo-stał, muszą się tym zająć o-kreślone siły społeczne różnej kategorii.

— A konkretnie?

— Konkretnie... Piszećie przecież o tym nie od dziś. Co np. robią w ramach swego autorytetu, kadry osobowych i środków pieniężnych nasze ośrodki społeczne, związki za-wodowe, Liga Kobiet, kluby radnych czy rady robotnicze? Co robią w tym zakresie or-ganizacje młodzieżowe lub in-ne placówki społecznego dzia-łania zbiorowego? Przecież ca-ły ciężar walki z przestęp-stwami, walki o kulturę dnia codziennego na barki władz administracyjnych, sądów i milicji. A przecież współdzia-łanie społeczne z władzami w tym względzie, to nie dobra wola jednostki lub poszcze-gólnych zespołów społecznych, ale ich podstawowy obowiąz-zek.

— Brak tego, jak Pan Pro-fesor nazwał „obowiązkowe współdziałanie” sprawia, że nierzadko osobnik uważany w młóscu pracy za pracowni-ka wartościowego, w życiu prywatnym okazuje się łobu-zem i chuliganem. Jest to zjawisko tym szczególnie niepokojące, że dotyczy rów-nież i młodzieży...

— Właśnie. Jeżeli weźmie-my pod uwagę, że połowa ca-łej ludności Polski to osobi-ny poniżej lat 25, możemy po-jąć szczególną wagę tego zagadnienia. Dlatego sprawa pa-ląca jest wytworzenie atmo-sfery społecznej, aktywnej powszechnego, potępienia za-machów na nasze dobra mo-ralne, fizyczne i materialne. Należy się zastanowić nad

tym, dlaczego w naszych zwią-zkach zawodowych nie dzia-łają jakieś komora „czujnos-ci koleżeńskej” i troski o właściwy poziom moralny pracowników. Dlaczego nie wytworzyliśmy ogólnego prze-konania, że kontakt z towa-rzyszem pracy nie powinien urywać się na pracy w biurze czy w fabryce. Odbierzmy ro-lę w okresie tzw. przed-uchik-szajnym, tj. w stadium troski profilaktycznej przed pope-łnieniem przestępstwa mogły-by odegrać przede wszystkim organizacje młodzieżowe, Liga Kobiet oraz różnego rodzaju organizacje „kulturyściczne”.

— Jakimi cechami powinien wyróżniać się dzisiejszy nasz pracownik prawa?

— Musi być głęboko prze-konany o słuszności budowni-ctwa socjalistycznego, które-mu całe współczesne nasze prawodawstwo ma służyć.

— Dziękujemy Panie Profe-sorze. Proszę przyjąć z okazji obecnego jubileuszu jubileusz 60-lecia pracy w służ-bie prawodawstwa i sądowni-ctwa polskiego, serdeczne ży-czenia dalszych długich lat życia i wielu jeszcze osią-gnięć naukowych i społecznych.

ROZM.: K. WYRZYKOWSKA

KONKURS

(tylko dla studentów UL)

Koło Naukowe Polonistów przy Uniwersytecie Łódzkim ogłasza konkurs na recenzję to-mu współczesnej pol-skiej poezji lub prozy, filmu polskiego o tema-tyce współczesnej, dra-matu teatralnego, wy-stawionego w ocenym sezonie na jednej ze scen łódzkich oraz na opowiadanie z życia stu-entów w Łodzi.

Recenzja, nie przekra-czająca 4 stron maszyno-pisu, powinna doty-czyć dzieł wydanych w okresie od 1 X 1961 r. do chwili obecnej. Opowia-danie nie może przekro-czyć 10 stron maszyno-pisu.

Dla oceny nadesłanych prac powołany zostanie sąd konkursowy, który przyzna nagrody i wy-różnienia o łącznej war-tości około 4 000 zł. Po-między uczestników kon-kursu rozlosowane zo-staną nagrody książko-we. Najlepsze recenzje i opowiadania będą opu-blikowane. Prace zapo-życzone w godło i dokła-dny adres nadawcy na-leży nadsyłać do dnia 15 maja 1962 r. pod adresem: Koło Nauko-we Polonistów, Łódź, ul. J. Matejki 36/38 (gmach Biblioteki Uniwersytec-kiej) z napisem na ko-percie „Konkurs na re-cenzję i opowiadanie”.

Ogłoszenie wyników konkursu nastąpi dnia 1 czerwca 1962 roku.

KOŁO NAUKOWE
POLONISTÓW

Przypowieść o Józefie Kowalskim

Dalszy ciąg ze str. 1

ustyszał, że partia chce orga-nizować swoich członków na zasadzie miejsca zamieszka-nia — protestował: jeszcze tego, cholera, brakowało, po-trzebne jak piątę kółko u woza, mój prywatny dom chcieliby upaństwowić!

Ale któregoś dnia obudził Kowalskiego z drzemki śpiew. Poznał nawet głosy: Kowalski z drugiego piętra pokrzykuje: „nie straszny dla nas groźnej burzy czas”... To pewnie maszeruje ten bło-gostawiony przez partię i wła-dzę miejskie Front Narodowy — myśli Kowalski. Od-stawia klatkę z kanarkiem, okno otwiera i widzi, że lu-dzie biorą się za Kaczą uli-cę. Oczywiście rzecz, nasz Jó-

zef z parteru, nie może być gorszy od Jana z piętra, ta-kie rzeczy, jak równanie te-renu, czy sianie trawy umie robić. Ostatecznie on lepiej odróżni „tymotkę” od „raj-grasu” niż Kowalski z trze-ciego, który jest aktorem i zna się na Szekspirze, ale farby dobrac nie potrafi.

Pan Józef sam nie umiał-by tego dokładnie wytłuma-czyć: świat jest jeden, Ko-walski też w końcu nie po-dzieleny na wojskowego i cy-wilnego. W biurze pracuje i tu się coś robi. Kaczą można spokojnie chodzić, za bloka-mi bawia się dzieci, pan dok-tor Kowalski z parteru trochę nawet ludzi uświadamia, co do spraw, o których każdy mężczyzna wie, a dorosła ko-bieta bez trudu się domyśli.

W całej dzielnicy też się tro-chę zmieniło. Całą hecę wy-wolał niejaki Wacław Ko-walski, starszy już obywatel, który jeszcze przed wojną agitował wśród ludzi, jako

pepesiak, a teraz przewodni-czący grupy partyjnej. Tylko że wtedy nie było bloków, ale kurniki wypchane ludź-mi po brzegi, i nikt z magis-tratu do ludzi nie przycho-dził. A teraz przyszli, z par-

Na każdą złotówkę, któ-raz wydale Rada Narodowa na upiększenie miasta, przypada prawie 5 dodat-kowych złotych, wypra-cowanych przez samych łodzian.

til też, przed wyborami. No więc, jak się pan Wacław, towarzyszu z Kaczej, nie roz-zedrze: a świetlice zaplano-wałyście? A gdzie jest szewc? A dlaczego po nici leci czło-wiek dwa kilometry, chociaż fabryka obok. Nie może sa-ma uruchomić sklepu? We-dliny sprzedawało się w bud-kach, ale za nieboszczki sa-nacji, teraz jest demokracja. My tu trawę nasiali, prze-

wek nasadzili, Kowalski Jó-zef osobiście sadził, lawek nawieźliśmy, podwórek co prawda u nas w blokach nie ma, ale dużyna harciska podwórkowa może być, a wy głupiej księgarni nie potrafi-cie dla tyłu obywateli zao-łożyć?

Spisał się dobrze, chociaż dzielnicowy sierżant z MO też mu nieźle odpowiedział: wszystko to cacy, obywatelu Kowalski, ale buzie macie za duże, zwłaszcza kobiety, trzy pyskówki na dzień, to będzie trzysta procent ponad plan. Nie możecie sami rostrzyg-nąć, która której bieliznę ze słocha do cienia przewiesza? To ja muszę w każdej dupe-reлке ingerować? Jak wygła-da powaga funkcjonariusza w warunkach demokracji? Przecież obywatele sami po-winni się uświadamiać! Boisko potrafią założyć, a jak jedna drugiej ubliży, to mądrego na całą Kację nie ma!

Kowalski gra dalej na swoim radiu, patrzy w swój telewizor i karmi własne kanarki, może tylko z żoną jest ostrożniejszy. Kowalski myśli, że w mieście dzieje

się w ostatnich latach coś bardzo dobrego. Grupy par-tyjne powołała do życia łódzka organizacja, a później te grupy w partyjnym statucie zapisali. Grupy wzmocniły Front Narodowy, Front zo-bił dużo w całej Łodzi, władza mówi z ludźmi i jak kto ma rację, to nawet zro-bią to, co powiedział. Czło-

„Można, indywidualna praca agitatora przynosi w końcu wyniki konkretne, gdyż dociera bezpośrednio do człowieka. Jak władzo-mo szczerze, przyjaśle-skiej rozmowy człowieka z człowiekiem nie zastąpią nawet dobrze zorganizowa-ne zebrania”...
(Z referatu na IX Kon-ferencji Sprawozdawczo-wyborczej PZPR w Łodzi)

wiek ma coś do gadania. Nie tylko na Kaczej. Kowalski sam przyjmował delegację Samorządu Robotniczego. No i powiedział mu, żeby się tak nie mądrzył jak nie zna do-kładnie sytuacji w wykoń-czaniu. A jak nie ustąpi to mu przysłał któregoś z agita-torów, żeby Kowalskiego

przekonał indywidualnie. Ta-cy też już są.

Józef ustąpił, ale zrozu-miał, że tworzy się cały sys-tem więzi pomiędzy ludźmi — grupy partyjne w mie-scach zamieszkania, rady zło-żone z ludzi, którzy znają swój odcinek pracy, agita-to-ry, którzy poza zebraniem, ot tak, przy herbatce, na spacerze, potrafią wytłuma-czyć człowiekowi szereg wąp-liwości. Nie każdy chce przecież publicznie mówić, czego nie rozumie, bo się boi wygłupić. Wacław Kowal-ski powiada, że u nas partia wzięła się za kształtowanie właściwych socjalistom-norm moralnych i stosun-ków międzyludzkich. Ładnie powiedział, chociaż może trochę zbyt uczenie. Ale w praktycznym życiu każdy to rozumie. Kowalski zapamię-tał sobie te słowa, powtórzył je nawet na konferencji dzielnicowej. Przyszedł w zwykłym ubraniu, ani cywil-nym, ani wojskowym. Tylko w kłapie miał Odmakę U-czesznią Pracy Społecznej.

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

„Nóż w wodzie“



Jolanta Umecka i Leon Niemczyk w „Nożu w wodzie“

Antygwiazda

Opuszczając w r. 1953 mury szkoły teatralnej Maria Luisa Céciarelli była niepozorna, niezbyt ładną dziewczyną. Szkołę ukończyła chwaląc. Uznano iż nadaje się do ról charakterystycznych. I już wkrótce świeżo upieczona adeptka sztuki teatralnej zadebiutowała na deskach scenicznych. Grała w „Matce Courage“ Brechta i w „Mandragerze“ Macchiavellego, w „Sześciu śmiesznych historiach“ i w „Hamlecie“ (Ofelia).

W ten sposób Maria Luisa przeobraziła się w aktorkę teatralną Monikę Vitti.

Ale zmiana nazwiska nie zmienia człowieka. Monika była dziewczyną pełną kompleksów i wewnętrznych oporów. Uważała się za brzydką i nie dbała o siebie. Uniikała luster. Była chuda, miała grube nogi, pełno piegów i nosiła okulary.

Od czasu do czasu Monika dorabiała sobie pracując w dubbingu. I pewnego dnia właśnie w studio dubbingowym spotkała znakomitego reżysera, Michelangelo Antonioniego. Było to pięć lat temu. To spotkanie odegrało decydującą rolę zarówno w życiu prywatnym, jak i artystycznym Moniki Vitti. Od tego momentu młoda aktorka rzuciła wszystko dla filmu. Zmieniła swój dotychczasowy tryb życia, swoją powierzchowność a nawet osobowość. Stała się piękna. Jej złote włosy i bardzo biała twarz nabrały blasku. Ale uroda Moniki nie ma nic wspólnego z sztuczną fabrykowaną pięknoscia „gwiazdy“. Jest subtelna i naturalna. Jak dotychczas Vitti grała tylko w filmach Antonioniego. W r. 58 — w „Przygodzie“, w r. 60 w „Nocy“ i w r. 61 w „Zaśmieniu“. Za swoją kreację w „Przygodzie“ otrzymała 10 nagród. Stała się gwiazdą pierwszej wielkości, na skalę między-

narodowa. Czy też może „antygwiazdą“.

„Na samą myśl o tym — mówi Monika Vitti — że mogłabym być gwiazdą reklamowaną i tropioną przez prasę jak Brigitte Bardot gotowa jestem zrezygnować ze wszystkich okładek i wszystkich artykułów świata. Powodzenie, na którym mi zależy ma zupełnie inny charakter, i nie ma nic wspólnego z reklamowym rozgłossem, z przelotnym zadowoleniem jakie daje tania popularność“.

Monika Vitti nie posiada ani swego konta w banku, ani nowoczesnego wozu (w garażu stoi stary, wysłużony Fiat 600), ani luksusowych futer i toalet. Prowadzi skromne życie kobiety, którą pasjonuje przede wszystkim jej zawód. Nie chce dać się wtłoczyć w utarte schematy „stylu życia“ aktorek, które zrobiły karierę, zdobyły sukcesy i pieniądze.

„Chwała mi, przede wszystkim dlatego — mówi Monika Vitti — że moja twarz wyraża subtelność i oryginalną problematykę wielkiego reżysera Antonioniego. Za każdym razem gdy gram w jego filmach, odnoszę wrażenie, że robię coś bardzo ważnego dla mego życia i odczuwam dziwny niepokój. Tematyka filmów Michelangelo jest zbyt „cienka“, zbyt związana z niemożnością wzajemnego porozumienia się ludzi, by mogła pomóc aktorom „wejść“ w postać. W

filmach Antonioniego nie występują uczucia tradycyjne, a jedynie pewne stany psychiczne: kruche, ledwie uchwytne, bardzo złożone. I stąd płynie ten mój niepokój: jak zdołam wyrazić te wszystkie ledwie dostrzegalne odcienie“.

Jak zdołam wyrazić powściągliwy chłód... nowoczesnej kobiety lub jej niezdolność znalezienia wspólnego języka z innymi ludźmi, skoro cała moja istota przyzwyczajona jest do spontanicznego wyrażania rzeczywistych uczuć takich jak gwałtowność, sympatia lub miłość.

Pod tym względem najtrudniejsza była dla mnie moja rola w „Zaśmieniu“. Bohaterka tego filmu jest po prostu ośchłą dziewczyną, która nie odczuwa żadnej potrzeby miłości, która nie wie co to znaczy kochać. Czyż nie jest to jakaś potworna antycypacja ludzi przyszłości? Aby ją zagrać musiałam pozbyć się wszystkich znanych mi, normalnych uczuć, musiałam uporczywie szukać w sobie i w ludziach z mego otoczenia, owych drobnych elementów, które mogłyby odpowiadać tej atmosferze ośchłości, jaka zaczyna nas ogarniać.

Filmy Antonioniego były dla mnie bardzo ważnym doświadczeniem. Ale moja droga artystyczna nie zatrzymuje się w tym miejscu. Czeka mnie dalsze poszukiwania. Muszę znaleźć w pełni prawdziwy sposób wyrażania się, sposób prawdziwszy i czystszy niż sama rzeczywistość. Droga jaka mnie czeka omija z daleka wyświechtane uczucia i tradycyjne chwytne jakich uczy w szkole teatralnej. Tą drogą pragnę iść u boku Antonioniego ale w najgorszym razie i bez niego. Czuję, że jest to droga właściwa ale zarazem samotna“.

M. K.

I tak doczekaliśmy się fabularnego debiutu Romana Polańskiego. Pomnąc na dotychczasowy kierunek artystyczny poszukiwań tego reżysera („Dwaj ludzie z szafa“, „Gdy spadają anioły“) można było obawiać się czy też spodziewać dalszej kontynuacji eksperymentu z symboliką, tym bardziej że sam tytuł filmu — „Nóż w wodzie“ jest raczej ekstrawagancki, pretensjonalny, a przede wszystkim — pusty. Tymczasem film całkowicie odbiega od tego rodzaju przypuszczeń. Opiera się na historyce tak blachej, tak zwykłej, że nieomal zahaczającej o schematyczny banał, gdzie kulminacyjnym punktem dramatycznym jest zdrada małżeńska, a wszystko podane w uwspółcześnionym wydaniu — luksusowy wóz, prywatna żaglówka, niedzielny weekend.

Polański ominiął taktownie banał. Zrobił film o wciąż rozpowszechniającym się, banalnym standardzie życiowym, właściwym dla każdej szerokości geograficznej — „Nóż w wodzie“ jest narracją o współczesnym stylu życia. Akcja filmu rozgrywa się w społecznej izolacji, na ograniczonej przestrzeni pokładu prywatnej żaglówki, choć z przestrzenną panoramą jeziora. To wyrugowanie wszelkich odniesień społecznych, eliminacja szerszych kontaktów czyni trójkę bohaterów postaciami anonimowymi. Założona przez scenarzystów sztuczność takiej odciętej sytuacji jest tu tylko pozorem, w rzeczywistości stanowiącym znak umowny — bo gdyby nawet odwrócić okoliczności, umieszczając bohaterów w zwartym tłumie, dalej pozostaliby anonimami. Małżeństwo Andrzej — Krystyna w niedzielny weekend, gdzie bynajmniej nie szuka samotności ani ucieczki przed ludźmi, ciasny pokład żaglówki jest odpowiednikiem ich stylu życia — doskonale pasywnego, obojętnego, aspołecznego. Reprezentują oni bowiem tę kategorię ludzi, dla których stabilizacja, aspiracje, powodzenie życiowe utożsamiają się z ekwiwalentami luksusu, oni zaś osiągnęli jakiś z jego pułapów — dysponują drogim autem i

prywatną żaglówką. Posiadają więc to, co dla przeciętnych oznacza podmiot marzeń: pieniądze. Prawdopodobnie ich troski sprowadzają się do zjedzenia dobrego obiadu, znalezienia dobrego towarzystwa lub „problemu“ — wycieraczki z auta zgina czy też można je zostawić?

Autostopowicz zabrany przez Andrzeja na żaglówkę jest jeszcze większym anonimem. Przynależy do tych, którzy rozpoczynają, a w każdym razie marzą o osiągnięciu dla siebie owej prosperity życiowej, typu życiowego awansu, którego jedynym wyróżnikiem i jednocześnie stopniem hierarchicznym jest marka posiadanej samochodu. Autostopowicz ma posłużyć Andrzejowi jako dowód za wyznawaną filozofia, usprawiedliwiająca jego wewnętrzny konformizm, ciasny snobizm, płytkie kabotyństwo — „powodzenie życiowe jest wyłączną cechą ludzi mocnych“. Ta londonowska, ale zwulgaryzowana teoria opisuje się Andrzejowi na każdym kroku, inspirować sytuację tak, aby wypadły upokarzająco dla autostopowicza, pointując je równocześnie przypowiadkami o silnych ludziach morza. Andrzejowi jednak nie tylko zależy na udokumentowaniu swojej „sily“ przed żoną, gdyż ta stanowi jeden z rekwizytów posiadanej własności i stąd władza nad nią nie sprawia należytej satysfakcji, ile na przekonaniu o swoich racjach samego siebie. W taki sposób życiowy hochsztapler przyjmuje pozę londonowskiego silnego człowieka. Natomiast szczeniak, który do tej pory zachwycał się jedynie z daleka widokiem zagranicznych wozów, nagle dostaje możliwość chwilowego uczestniczenia w życiu, o jakim marzył.

Jednak szczeniak, powodowany po części przekorą, po części nienasyconą i rozdrażnioną ambicją, buntuje się. Szczeniak zaczyna również zgrywać się, przyjmując pozę cynicznej obojętności, nonszalancji, demonstracyjnie wyszydzając Andrzeja, w którym przecież widzi swój własny przyszły portret. Bo szczeniak pragnąłby mieć dobre auto, prywatną żaglówkę, młodą i ładną żonę. Ale szczeniak nie ma nic, poza składanym nożem, którym, jak powiada, „można doskonale torować sobie drogę“. W konsekwencji obydwaj — szczeniak i hochsztapler — demaskują się przed trzecim uczestnikiem niedzielnej eskapady, kobietą. Kobieta jest znużona, mądrzejsza od nich, wie cały czas o ich błędzie. Może dlatego kobieta wydaje się najmniej antypatyczna — nienawidzi męża, brzydzi się szczeniakiem, pogardza sobą, lecz nie szuka moralnego usprawiedliwienia dla siebie w żadnej pozie.

Cała historyjka została przez Polańskiego zrecenzje zakomponowana. Bardzo oszczędna, lapidarna, zbudowana z drobnych, prawie ułamkowych scen, jednakże ząbających się jedna o drugą — każde zdarzenie w filmie wynika z poprzedniego i posiada swoje następstwo. Rola Andrzeja jest najlepszą ze wszystkich filmowych wcieleń Leona Niemczyka. Para debiutantów — Zygmunt Malanowicz, a szczególnie Jolanta Umecka — reprezentuje się dobrze aktorsko. Ciekawe zdjęcia Lipmana podtrzymują specyficzny klimat filmu. Uwaga! — nareszcie udane dialogi (zasługa J. Skolimowskiego).

MIESZANKA FILMOWA

MIESZANKA FILMOWA



Monika Vitti

odgłosy str. 3

JERZY DAGOBERT

V KOLUMNA

Dla naczelnego dowództwa armii hitlerowskiej szczególnie ważne, strategiczne znaczenie miały szybkie przemarsze po Wielkim Księstwie Luksemburgu. W założeniach hitlerowskiej inwazji, mającej przebiec na celu — w tym okresie po zajęciu Belgii — okupowanie Francji, istotne było jak najszybsze przerwanie się przez Ardeny i wyjście w rejon między Namurem, a Sedanem.

Piszę „przemarsz”, co oczywiście równoznaczne jest w tym wypadku z najazdem na ten mały kraj. A najazd i okupacja Luksemburga, były przecież w planach hitlerowskiego podboju świata brane pod uwagę na pewno nie z powodu rozległego obszaru geograficznego czy dla jakichś określonych ambicji politycznych. Małe, parla-

mentarne Księstwo Luksemburg o ponad 300-tysięcznej ludności było dla Niemców ważne z innego powodu. Miało stanowić wraz z zasobami podbitych już państw ważny rezerwuariat bogactw naturalnych. Albowiem terytorium Luksemburga szczególnie bogate jest w rudy żelaza. Kopalnictwo tej rudy — to największe bogactwo tego 12 kantonowego państwa. Trzeba również pamiętać, że przemysł hutniczy Luksemburga zajmował 6 miejsce w Europie. Toteż z władzą tymi reasurami leżało u podstaw niemieckiego podboju Luksemburga. Oczywiście nie bez znaczenia były strategiczne aspekty, wynikające z geograficznego położenia Wielkiego Księstwa.

A więc powiedzieliśmy, że Niemcom zależało na szybkości działania. W związku z tym przez granicę Luksemburga wywiad hitlerowski przetrząsnął kilkadziesiąt „genów” przebranych w cywilne ubrania, wyposażając ich w motocykle. Zadaniem agentów było niszcząc łączność telefoniczną, rozminować mosty i przejazdy, i zabezpieczyć przed uszkodzeniem przez Luksemburczyków ważnych arterii komunikacyjnych. Liczono bowiem, że patriotyzm ni obywateli Luksemburga będą starali się przeciwdziałać szybkiemu przemarszowi wojsk hitlerowskich.

Obawiano się tego słusznie. Jak wykazały wypadki — mimo przynajmniej siły najazdów — młodzież Luksemburga potrafiła niejednokrotnie pokrzyżować „blitzkriegowe” zamiary Niemców.

CYRK PRZYJECHAŁ występu nie było

Na szosach i ważniejszych przejazdach zbudowano barykady, odcinkami niszczone jezdnie. Wszystko po to, by opóźnić marsz hitlerowców. O podjęciu zbrojnej walki nie było mowy. Zdawano sobie sprawę, że mała armia Luksemburga (jeżeli w ogóle te mikroskopijne oddziały można określić słowem armia) nie jest żadnym przeciwnikiem dla zakutych w stal wojskowych kolumn niemieckich. Ale jednocześnie zdawano sobie sprawę, że niekające „ukaszanie” na pewno w jakiejś mierze przyczynia się do zahamowania ruchów nieprzyjacielskich. Była to godna podkreślenia postawa tej części społeczeństwa, która zawsze manifestowała swoją narodowość, suwerenność i postawę.

Była w tym małym kraju i część społeczeństwa wyrażająca sprzeciw Niemcom.

Jeszcze w roku 1936 powstała w Luksemburgu grupa młodzieży, która z inspiracji emigracji hitlerowskiej zorganizowała się w narodowo-socjalistyczny Związek Młodzieży, tzw. „Luxemburger Volksjugend”. Pięć lat istniał ten związek, aplikując w środowiska młodzieżowe i nie tylko młodzieżowe Luksemburga hasła nacjonalistyczne, szeregając, a raczej starając się pozyskać dla swoich szeregów możliwie jak najwięcej zwolenników faszystów. Nie bardzo to im się udawało. Chociaż Berlin nie szczędził środków propagandowych i finansowych. Najbardziej lgnęli do tej organizacji Luksemburczycy, rodzinnie powiązani z rdzennymi Niemcami. W nich widzieli berlińscy mocodawcy „Luxemburger Volksjugend” swoich sprzymierzeńców, z nich tworzyli grupy piąte kolumny, w nich pokładali nadzieje.

Ale oto w początkach 1940 roku kierownictwo organizacji otrzymało z Niemiec niezwykle dyspozycje. „Należy wstrzymać — głosiła dyspozycja Abwehry — wszelką działalność propagandową. Rozpocząć akcje zlikwidować w zarodku! Oczekujecie nowych zadań, które na razie są nieskonkretyzowane...” Nie wiemy, jak wielkie zdziwienie ogarnęło działaczy „Luxemburger Volksjugend” po otrzymaniu tych dyspozycji. Wiadomo natomiast, że od stycznia 1940 r. do maja tegoż roku — rzeczywiście organizacja ta nie przejawiała żadnej działalności. Jednakże wypadki, jakie rozgrywały się niemal w bezpośrednim sąsiedztwie Luksemburga, dawały sporo do myślenia luksemburczym faszystom. Byli jednak posłuszni „Befehlswort” z Berlina. Czekali...

I tak doczekali się pierwszych dni maja 1940 roku, kiedy to do stolicy Wielkiego Księstwa, miasta Luksemburg (65 tysięcy mieszkańców) przybyła ogromna trupa... cyrkowa z Niemiec! Dziwno to było „cyrkowcy”. Przede wszystkim było ich o wiele za dużo, nawet jak na największy cyrk niemiecki — bo trupa ta liczyła ponad 200 osób (!), a poza tym „cyrkowcy” ci byli wszyscy w... mundurach! Zanim rozbito namioty, poczyniono przygotowania do pierwszego przedstawienia, zjawili się liczni goście „turystów” na motocyklach. No i oczywiście do przedstawienia nie doszło...

W nocy z 9 na 10 maja 1940 „cyrkowcy” i „turysty” wraz z członkami „Luxemburger Volksjugend” otrzymali „bojowy rozkaz: opanować nadgraniczne stacje kolejowe, zająć posterunki policji i przetrwać łączność telefoniczną! Rozjechały się po Luksemburgu motocykle z „cyrkowymi turystami”, a goście z organizacji LV przystąpili do „działa”.

I tu napotkali na przeszkodę, o których mówiliśmy na początku. Nie znaczy to, że nie pokonali tych przeszkód. Ale maszerująca hitlerowska machina wojenna musiała skorygować swój plan, biorąc pod uwagę czas stracony na usuwanie barykad, naprawę szos i budowę — w miejsce zniszczonych, nowych, tymczasowych przejazdów. Luksemburczycy z piątej kolumny mieli sporo roboty. Tym bardziej że część z nich udało się władzom Wielkiego Księstwa aresztować jeszcze rankiem 10 maja. Wywieziono ich do Francji w wagonach bydłych, na których widniały napisy: „Piata kolumna”, „Szpiezy”, „Boże” (Boches — francuskie pogardliwe określenie Niemca — przyp. J. D.).

Nie trzeba chyba podkreślać, że walka na terenie Luksemburga trwała bardzo krótko. Po niedługiej wymianie strzałów 75 żołnierzy z jednostek luksemburskich poddało się, a jak podaje „Livre dor de la resistance luxembourgeoise de 1940-1945” — „6 bandamów i 1 żołnierz zostało rannych, zabitych nie było”.

UWAGA:

alkohol!

W dniu 7 czerwca 1961 roku do komendanta MO Łódź-Widzew wpłynął o godzinie 18 raport o dzielnym oficerze, J. A. R. następującej treści:

„Melduję, że w dniu 7 czerwca o godzinie 17, w wyniku zażalenia, udano się do posesji nr X na placu Zwycięstwa, gdzie na miejscu, w mieszkaniu Wiesława Stakowskiego, lat 21, był już lekarz pogotowia, który stwierdził zgon Wiesława Stakowskiego na skutek zatrucia, spirytusem metylowym. W rozmowie z matką denata ustalono, że pil on gdzieś poza domem i do domu został doprowadzony przez niejakiego Tomczyka, zamieszkałego w Łodzi przy ul. Piotrkowskiej nr XX i jeszcze jednego jakiegoś swego koleżę, którego nazwiska nie zna. Po upływie kilku minut zaczął się dusić, piana mu wystąpiła na ustach i zrobił się czarny, wobec czego wezwano lekarza. Ile wypił, tego matka denata nie wie...”

Raport ten wywołał w Komendzie duże poruszenie. Jak wiadomo alkohol metylowy, zwany inaczej metanolem lub spirytusem drzewnym jest substancją silnie trującą. Otrzymuje się go przez suchą destylację drewna lub też syntetycznie — z tlenku węgla i wodoru. Używa się go jako rozpuszczalnika lakierów, tuszów, żywie i jako środka skazującego przy denaturacji zwykłego alkoholu etylowego.

Dość często prasa alarmuje, że na skutek wypicia spirytusu metylowego ulega zatruciu, ciężko się rozchorowuje, oślepia albo zmarła młodziś lub wieksza liczba ludzi. Ukazują się również w prasie całe artykuły przestrzegające ludność przed picciem alkoholu metylowego. Obecnie nie było chwili czasu do stracenia. Należało niezwłocznie ustalić, skąd ten alkohol pochodził, jaka ilość została ew. skradzioną, ilu ludzi go pili lub może pić, gdzie się znajduje? Trzeba było zapobiec nieszczęściu — uratować resztę posiadaczy tego spirytusu od ciężkiego kalectwa lub śmierci. Telefonem lekarza Pogotowia Ratunkowego w odpowiedzi na zapytanie. Prokuratury, stwierdził, że Wiesław Stakowski

zmarł prawdopodobnie z powodu zatrucia się spirytusem metylowym. Oczywiście, ostateczne orzeczenie można było wydać dopiero po przeprowadzeniu sekcji i datę prokuratury natychmiast przekazał w tym celu zwołał do Zakładu Medycyny Sądowej. Prokuratura powzięła decyzję o wszczęciu śledztwa już w dniu 8 czerwca, ale jeszcze w dniu 7 czerwca o godz. 15.30 przeprowadzono rewizję w poszukiwaniu spirytusu metylowego w mieszkaniu matki denata, Marianny Stakowskiej. W równie blaskawym tempie został odnaleziony jeden z kolegów denata — Henryk Tomczyk, Samochód patrolowy MO przyjechał go na jednej z ulic, gdy szedł pijany. Niezwłocznie przewieziono go do Komendy MO, a następnie do szpitala, został poddany płukaniu żołądka oraz próbie krwi. W mieszkaniu jego również natychmiast przeprowadzono rewizję. Obie rewizje dały wynik negatywny — spirytusu metylowego nie znaleziono.

W równie szybkim tempie, bo również 7 czerwca późnym wieczorem milicja ustaliła, kto był drugim z kolegów zmarłego Wiesława Stakowskiego, który go przyniósł nieprzytomnego do jego mieszkania. Był to niejak Ryszard Grygiel. Udało się nawet stwierdzić, że mieszka on przy ul. Narutowicza, ale dokładny adres jeszcze nie został ustalony.

Następnego dnia, tj. 8 czerwca w godzinach rannych przeprowadzono w Zakładzie Medycyny Sądowej sekcję zwłok Wiesława Stakowskiego. Konkluzja opinii brzmiała: „Denat zmarł śmiercią gwałtowną na skutek zatrucia alkoholem etylowym. Obecność spirytusu metylowego ani denaturatu nie stwierdzono. Metoda Widmarka oznaczona we krwi 3,34 promille i w moczu 3,32 promille alkoholu”.

Już przy zawartości alkoholu we krwi 2-3 promille następuje stan silnego upojenia. Przy zawartości 3,6 do 5 promille — zupełna utrata przytomności, spadek ciepłoty ciała, osłabienie krążenia, stan narkotyczny; powyżej 5 promille z rezultatem śmierci wskutek porażenia układu nerwowego. Musiał więc ten Wiesław Stakowski nie mieć w sobie alkoholu, aby zawartość tego przekroczyła we krwi 5 promille.

W każdym razie wszyscy zacytowa sprawę odczynili z ulgą, gdyż okazało się, że Stakowski zmarł nie normalnym, toksycznym spirytusem etylowym, a nie bardzo niebezpiecz-

nym metylowym, a zatem życiu innych ludzi nie groziło niebezpieczeństwo.

W ciągu 8 czerwca ustalono, że prócz Stakowskiego, Tomczyka i Grygiela, w piątstwie brał jeszcze udział niejak Jan Osiśka. Przesłuchany Henryk Tomczyk, robotnik w Łódzkiej Wytwórni Wódek, zeznał, że przyjaźnił się ze Stakowskim od wielu lat, tym bardziej, że chodzili do jednej szkoły i klasy. W dniu 7 czerwca w czasie rozładunku wagonu z butelkami wraz z Janem Osiśką, w godzinach 14-15, zbliżyli się do nich Wiesław Stakowski z jakimś ko-

Z notatnika prokuratora

lega, którego nie znał (był to Ryszard Grygiel). Obydwaj byli zupełnie trzeźwi i zachowywali się normalnie. Po chwili rozmowy udali się oni na dół, do suterenu, gdzie znajduje się szatnia. Stakowski doskonale orientował się w terenie, gdyż w marcu kilka dni pracował w Wytwórni i został zwolniony z nieterminowych świadczeń powodów. Chcąc godnie podjąć swoich gości Tomczyk wraz z Osiśką, po skończeniu pracy przed 15 poszli na spacer do rozlewni, że do stołu rozlewnicznego niepostrzeżenie wzięli dwie butelki 0,5 l wódki pomarańczowej oraz 0,5 l cytrynowki i udali się do szatni, gdzie na nich czekał goście. Wypili ze swoich szafek garnuszki do herbaty o pojemności 0,5 l i zaczęli napijać. Stakowski od razu napił sobie pełen kubek i wypił go „duskiem”, a następnie napił drugi i też wypił. Natomiast Tomczyk wraz z Grygiel i Osiśką wypili we trzech 0,5 l wódki. Po wypiciu całego litra wódki Stakowski ze swoim kolegą wyszli z terenu Wytwórni, a Tomczyk z Grygiel przebrali się i dopędzili ich na placu Zwycięstwa. Okazało się, że Stakowski już nie mógł iść o swoich siłach, więc jakos we trzech, ciężkimi krokami, zaciągali go do domu. Osiśka czekał przed domem, a oni we dwóch wlecieli Stakowskiego do mieszkania i położyli go na tapczanie. W mieszkaniu była jakaś kobieta, prawdopodobnie matka Stakowskiego, Kobieta

dzienia i wódkę zapili wódką. Grygiel wypił tylko kilka łyżek, gdyż wódka mu nie smakowała i poczuł się niedobrze. Prosił Stakowskiego, aby nie pił tyle, ale ten go wysmiał twierdząc, że już nie raz pił i tyle, i nawet więcej. Gdy wyszli na ulicę Stakowski szedł normalnie i nie nie wskazywało na to, aby był bardzo pijany. W parku „Zróżdka” Stakowski usiadł na ławce i zasnął, a gdy dołączyli jego koledzy i zaczęto go budzić, coś bełkotał, przewracał się i widać już było, że jest bardzo pijany.

W tych warunkach musiałem rozważyć kwestie odpowiedzialności kolegów Stakowskiego z art. 247 KK, gdyż dopuścili oni do tego, że Stakowski w ich obecności wypił litr alkoholu, a następnie pozostawił go w mieszkaniu, nie wezwawszy lekarza pogotowia, którego szybka interwencja, być może, mogła ocalić życie denata. Wszyscy trzech zgodnie zeznali, że starali się odwieść Stakowskiego od zamiaru wypicia tak znacznej ilości alkoholu, zwłaszcza, że nie mieli nic do zakaszenia.

Art. 247 KK stanowi „Kto nie udziela pomocy człowiekowi, znajdującemu się w położeniu, grożącym bezpośrednim niebezpieczeństwem dla życia, mogąc to uczynić bez narażenia siebie lub osób bliskich na niebezpieczeństwo osobiste, podlega karze więzienia do lat 3 lub aresztu do lat 3”.

nie nie mówiła i oni milczeli. Wyszli bez słowa. Przed domem Osiśki już nie było. Tomczyk pojechał się z Grygiel na rogu ulicy Główniej i Targowej, wsiadł do tramwaju i pojechał do domu. W domu zjadł obiad i gdy udał się na poszukiwanie oranzady zatrzymała go milicja. W Komendzie MO dowiedział się, że Wiesław Stakowski zmarł na skutek zatrucia się wódką. Ostatnio spotykał się z nim rzadko i tylko przypadkowo. Stakowski nigdy przed nim nie uskarżał się na zdrowie. Robił wrażenie zadowolonego i wesołego.

Poprzednio nigdy z nim nie pijał, jakkolwiek widział go kilka razy pijanego. Matka denata zeznała, że uskarżał się on od dwóch tygodni na kłucie serca i okresami silne bóle serca. Miał wdmę serca. Chociaż wiedział, że jest chory, nie chciał się leczyć.

Przesłuchanie przez prokuratora wszystkich trzech kolegów Stakowskiego niewiele już wniosło nowego do obrazu całego wypadku. Z Grygiel denat spotkał się przypadkowo na placu Zwycięstwa i zaproponował, aby ten odprowadził go do Wytwórni Wódek i przy sposobności dowiedział się o pracy. Podobno w Wytwórni łatwo było dostać pracę, a Grygiel pracę poszukiwał. Na terenie Wytwórni, mówiąc w potęgę, że idą do biura, z łatwością zostali przepuszczeni, i z korytarza biurowego przedostali się do rozlewni. Nie mieli nic do je-

dzynie o denaturacji wiedzeli, że jest trucizną i że w wypiciu tego alkoholu można oślepnąć. Wydaje mi się, że dla szkół i organizacji młodzieżowych jest tutaj wdzieczne pole do działania. Młodzież nasza chyba powinna się orientować, jakie alkohole znajdują się na rynku handlowym, jakie posiadają właściwości i jaka siła zatrzymują ludzkiego organizm. Pewnie jest, że gdyby nieszczęsny Wiesław Stakowski zdawał sobie sprawę z tego, że wypijał w tak krótkim czasie litr wódki, popchnął samobójstwo — tego samobójstwa nie popełniłby.

Pozostawili oni denata w domu bez żadnej pomocy również właśnie dlatego, iż sądzili, że nie może mu grozić żadne niebezpieczeństwo. — Wódka można się jedynie upić i nie po tym — powie dział któryś z nich nie mogąc się nadziwić, że jego kolega od wódki właśnie umarł.

Orzecznictwo Sądu Najwyższego o do stosowania art. 247 KK jest jednolite i nie pozostawia żadnej wątpliwości, że dla przypisania przestępstwa z tego artykułu jest konieczna wina umyślna, polegająca na zamierzonym postawieniu człowieka w groźnej sytuacji, pomimo że sprawa wie, iż może udzielić pomocy nie narażając na niebezpieczeństwo siebie lub bliskich.

Ponieważ jest rzeczą oczywistą, że w tych warunkach nie mogło być mowy o winie umyślnej ze strony Tomczyka, Grygiela i Osiśki, którzy byli dobrymi kolegami denata i nie mieli z nim żadnych zatargów — śledztwo umorzylem.

Materiały dotyczące kradzieży alkoholu przez Tomczyka i Osiśkę w Łódzkiej Wytwórni Wódek zostały wydzielone do odrębnego postępowania.

informacje i zaczepki

W Łodzi bawiła ostatnio grupa recenzentów teatrów z całej Polski. Goście obejrzeli między innymi „Sprawę” Sucho-Kobylina w Teatrze Nowym, gdzie to jedna z recenzentek nieciała sobie drzemkę wypylając w przerwach sąsiadów o treść, problematykę sztuki i... nazwę teatru. Choć to wygląda na „kaczkę” rzecz jest, niestety, autentyczna.

Interesująca wystawa plastyków-amatorów zorganizowała ostatnio w gmachu Prezydium Rady Narodowej Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych. Ekspozycja jak się rzekło sympatyczna i warta obejrzenia. Polecamy.

W ubiegłym tygodniu najpiękniejszym tytułem wyróżnił się Dział Sportowy „Głosu Robotniczego” pisać „Rozhartowana Stal” przegrwała na łódzkim ringu”. Czytelnik przeciwie — musi być niezwykle zahartowany aby podobne „metafory” strawić.

Dziesiątki osób odeszło z nieczym od kas Młodzieżowego Domu Kultury w dniu, kiedy Sienion i Janowska dawali kapitalny spektakl „Oskarżenia”.

Specjaliści z całej Polski do zagadnień komunikacji radzili w tych dniach w Łodzi. W związku z tym mówiła się o zorganizowaniu w naszym mieście Biura Studiów Komunikacji. Czy fakt ten wadynie na poprawę komunikacji miejskiej — nie wiadomo. Sceptycy twierdzą, że może nawet ją bardziej pogmatwa.

W ubiegłym tygodniu koncertował w łódzkiej hali sportowej węgierski Zespół Pieśni i Tańca im. Kossutha — czyli innymi słowy „Węgierskie Mazowsze”. Jak mogliśmy się zorientować Węgrzy podobali się w Łodzi.

W ciągu minionych dwóch lat w dzielnicy Bałuty przy było 7 nowych szkół, 6 przedszkoli i bibliotek oraz 2 kina i 2 klubiki.

J.W.



Rynek? Plac? — A może raczej skwer?...

Fot. G. Puciato

WIESŁAW WRZESIŃSKI

Chętnie wracam do Warty. Spędziłem tu kilka długich i trudnych miesięcy okupacyjnych. Wracam na krótko, przelotnie, ale często. To miasto jest mi bliskie. Interesuje mnie — czym żyje, i jak się zmienia. Wiem, że jest maleńkie, przytulone do rzeki jak jaskółcze gniazdo do belki pulapu. Wiem, że nie odgrywa widocznej gospodarczej roli w powiecie. Maleńka, stara miścina, oddalona od kolei żelaznej, od ważnych dróg ma, zdawałoby się, wszelkie warunki po temu, aby zasnąć głęboko i spokojnie.

Warta posiada wieloletnią tradycję „artystyczną”, a zwała się „wokalne”. Już bodaj w 1920 roku powstało tam Towarzystwo Śpiewacze „Lutnia”, które z kilkuletnią, okupacyjną przerwą, kontynuuje swą działalność do dziś. Żyje jeszcze Stanisław Młynarski, były kierownik miejscowej szkoły, założyciel i pierwszy dyrygent „Lutni”. Po wojnie — batutę nad czterdziestoosobowym chórem męskim przejął Jan Cwendrych, nauczyciel śpiewu i muzyki. Chór ten brał udział w szeregu konkursów wojewódzkich i w ostatecznym wyniku zaliczony został do klasy II tego typu zespołów. Obecnie przygotowuje się do krajowych eliminacji w Poznaniu.

Na długo przed drugą wojną światową działał również w Warty amatorski zespół teatralny, zorganizowany przez pracowników miejscowego szpitala psychiatrycznego, znany szeroko ze swych recytatorów.

Dobre tradycje — to cenna i trwała zdobycz. Nie zniszczy jej nawet taki kataklizm jak ostatnia wojna. Zawsze jakoś przeżyje choćby maleńka grupka ludzi, przechowujących w sercach i pamięci wspomnie-

nia, doświadczenia, a nade wszystko umiłowanie społecznej, kulturalnej roboty. A wtedy — łatwiej zaczynać od nowa.

Warta ma swój plac centralny, który w każdym innym małym miasteczku nazywa się rynkiem. Tu jednak ta nazwa

leży tę instytucję. Idzie się wąskim chodnikiem wzdłuż lewego szeregu kamieniczek i popatrzy im w twarz. Małe okienka, firaneczki, kwiatki, tu i ówdzie jakaś witryna sklepu, jakieś schodki pod wysokim progiem... Aż tu, na jednej z kamieniczek duży szyld. Błękitny, bodaj, z białymi literami. A może odwo-

— Widzi pan — odpowiada po chwili — to prawdziwy dyktemat. Jak widać na rozkładzie zajęć — większość czasu w tygodniu pochłania nam Zespół Pieśni i Tańca. W konsekwencji — jedyna salka jest najczęściej zajęta przez ćwiczący chór lub kapelę. Na inne prace DK wykorzystuje się pozostałe wolne chwile.

Nad WARTĄ

nie wydaje mi się właściwa. Od strony Sieradza biegnie szosa, wpada między pierwsze domy miasteczka, przechodzi w ulicę, która coraz bardziej się zwęża. Budynki po obu stronach jezdni zbliżają się ku sobie kosztem i tak już wąskich chodników. Nagle otwiera się przestrzeń — jasno, rzędy drzew, alejki, rabaty, laweczki...

Dwa rzędy kamieniczek, oddechnięte od siebie na sporą odcieśnię, tworzą dłuższe boki prostokąta. Stare już „toto”, nadgryzione zębem czasu i jakieś — naburmuszone. Wypis — wymaluj — dwa szeregi przekupców, które siłą rozdzielono, przerywając im kłótnię. A środkiem — spokojnie, truchcikami biegnie sobie nadal jezdni. U końca prostokąta znów się wślisznie między blisko siebie stojące domki, ale za to tuż za miastem, już jako szosa — wolna i niczym nie skrópowana — pobiegnie szparko na spotkanie z rzeką.

Przy placu, wedle zwyczaju — kilka najważniejszych budynków: Prezydium MRN, GS, Gospoda i — Dom Kultury.

Właściwie — to nie ma żadnego budynku Domu Kultury. Nie od razu można zna-

tnie... „Warki Dom Kultury”. Parter — jak wszędzie — firaneczki w oknach, kwiatki. Dopiero na pięterku — nie-duża salka, pokój kierownika i jeszcze jakieś maleńkie pomieszczenie. Ot i cały „Dom”. Wszystko to jakieś filigranowe, nawet miłe, ale na pewno niezwykle ciasne. A przecież zmieszczono tu mnóstwo ludzkiego wysiłku, całą masę rzetelnej, społecznej roboty. Tu prowadzi swe wykłady Uniwersytet Powszechny, tu odbywają się zajęcia poszczególnych sekcji DK, tu wreszcie ma swą siedzibę Zespół Pieśni i Tańca Ziemi Sieradzkiej, znany już w powiecie i województwie. Mieszkańcy Warty szczerzą się tym zespołem. Ba! — kilkadziesiąt młodych dziewcząt i chłopców — rozśpiewanych, roztańczonej, barwne sieradzkie stroje wirujące, migające w oczach, huk, kapela rżnie, wyjazdy tu, wyjazdy, tam!... To robi wrażenie. Luksusowe okno wystawowe maleńkiej, trzytysięcznej Warty.

Zwracam się do pana Tadeusza Adamkiewicza, kierownika DK:

— Niech mi pan powie, jak można sobie poradzić w takiej ciasnocie?

— Co wobec tego robi przeciętny chłopak czy dziewczyna, którzy nie mieli warunków lub szczęścia, aby zostać członkami waszego reprezentacyjnego zespołu? — pytam dalej.

Kierownik popatrzył mi w oczy: — Rozumiem pana. Pan ma rację. Ten zespół nas trochę przytłacza, nie widzimy reszty młodzieży.

Na skraju miasteczka, przy szosie wiodącej do Małkowa, stoi Państwowy Szpital Psychiatryczny. W ładnym parku szeroko rozsiadły się jasne, murowane pawilony. Duży to zakład, znany w kraju. Dla Warty szczególnie cenny — zatrudnia największą liczbę ludzi ze wszystkich nielecnych zresztą, instytucji i przedsiębiorstw miasteczka. Poza tym — szpital od wielu lat pełni funkcję, w której, jak dotąd, jest niezastąpiony — szerzy kulturę, daje dobrą rozrywkę. 45-osobowy zespół świetlicowy, składający się z pracowników szpitala, organizuje wieczory, okolicznościowe akademie i uroczystości, przygotowuje i wystawia sztuki teatralne. Odbiorcami są pac-

jeni, ludność Warty i okolicznych wiosek, do których zespół dojeżdża w miarę czasu i możliwości, lub przyjmuje ją u siebie.

Szpital posiada własną, kilkudziesięciopięciową orkiestrę, przeznaczoną również na „publiczny użytek”. W szpitalnej świetlicy dzieci pracowników, a także maluchy z miasta, uczą się majsterkowania pod fachowym okiem pana kierownika, Bogdana Korejwo, oglądają przeznaczone dla nich programy telewizyjne.

Duszą tych wszystkich poczyną jest pani dr. Eugenia Kaleniewicz — „spiritus movens” miasta Warty. Sprawuje ona funkcję kierownika artystycznego zespołu, inspicjenta, suflera, garderobianej, charakteryzatora...

Prowadzi mnie na strych jednego z pawilonów i z dumą pokazuje szafy, pudła, kufry, wypełnione strojami, perukami i wszelkimi innymi teatralnymi rekwizytami.

— Niech pan popatrzy — zaprasza — to nasze bogactwo, owoc wielu lat żmudnego gromadzenia. Pewna część pochodzi z darowizny, ale wcale pokazną część zakupiliśmy sami, za niewielką część dochodów z naszych przedstawień. Byłoby tego może więcej, ale mamy waż-

niejszą. A przecież — to lekarz zakładu psychiatrycznego, człowiek co dzień bezpośrednio stykający się z ludzką nędzą, z czarną ludzką rozpaczą...

Chodzę po Warty i szukam jakiegokolwiek inicjatywy społecznej młodzieży. Nie mogę jej znaleźć. Wszystko, co dobre i ciekawe tu zobaczyłem, dzieje się z inspiracji starszego pokolenia. Pewna część młodzieży — zaledwie bierze w tym udział. Nie ma zorganizowanego naporu młodych, nie ma młodzieńczego, twórczego fermentu.

Przed dwoma laty zorganizowano w miasteczku koło ZMS. Po jakimś czasie zmarło „śmiercią naturalną”. Wprawdzie przed kilkoma tygodniami „odrodziło” się na nowo, wprawdzie ma podobno szerokie plany, a nawet już pierwsze osiągnięcia — myślenie jednak, że za wcześnie jeszcze o tym mówić. „Pożyjemy — zobaczymy”. Pragnę jednak coś podpowiedzieć... Można przyłączyć się do działalności DK, lub zespołu szpitalnego. Można pomyśleć o jakimś klubie, który by objął swym zasięgiem całą młodzież miasta i wypchnął jej długie, zimowe wieczory... A już na pewno warto zająć się w czymś społecznym jakimś, prowizorycznym choćby, ośrodkiem wodnym, nie czekając na pieniądze, które tam kiedyś może i przyjdą z zewnątrz.

Warta — to maleńkie miasteczko, oddalone od głównych dróg. A jednak nie śpi. Są tu ludzie, którzy jej spać nie dają. Rusza się więc, staruszką, i — młodzieje. Słychać już o niej trochę w powiecie, a nawet w województwie. Po czekając — wróćcie na pewno usłyszycie więcej o Warty.



Dr. E. Kaleniewicz i Z. Auerbach — reżyser zespołu (w „cywilu” — księgowy) nad tekstem nowej sztuki.

Fot. G. Puciato



Od Dostojewskiego do Styrona

Dostojewski, jego życie i twórczość, nie przestają interesować Francuzów. Najlepszym dowodem jest fakt, że w ostatnich miesiącach ukazały się niemal jednocześnie trzy książki o wielkim pisarzu rosyjskim, każda w innym wydawnictwie. A więc — Calmann-Levy wydał „Korespondencję Dostojewskiego” zebrałą i skomentowaną przez Dominikę Arban. Ninie Gurfinkel; firma Arthème Fayard zaleca

swym czytelnikom studium pt. „Dostojewski”, którego autorem jest Henri Troyat; wreszcie w znanym wydawnictwie „Le Seuil” ukazało się dziełko Dominiki Arban „Dostojewski par lui-même”. Ta ostatnia książka przyjęta została przez krytykę z wielkimi pochwałami jako duże osiągnięcie. Dominika Arban analizuje wszystkie dostępne biograficzne elementy z dzieciństwa i młodości genialnego au-

tora „Zbrodni i kary”, które mogły mieć wpływ na jego twórczość, a więc podkreśla znaczenie środowiska rodzinnego, wpływ pierwszych lektur, Biblii, „Historii Państwa Rosyjskiego” Karamzina, itd. Z ciekawych szczegółów życia pisarza Dominika Arban przytacza entuzjastyczne przyjęcie „Biednych ludzi” przez znanego krytyka Bielińskiego,

mieckiego Maxa Stirnera, którego ślady poglądów, fragmentarycznych naturalnie, można znaleźć w wypowiedziach bohatera „Zbrodni i kary”, Raskolnikowa (przypominam, że Max Stirner, 1806-1856, był głośnym skrajnym egoistą. Wyraził to w brutalnej formule: „Ja chcę być wszystkim i wszystko posiadać, czym mogę być i co mogę posiadać” w dziele „Der Einzige und seine Eigentum”).

Przed paru laty ukazała się w Polsce praca Mackiewicz o Dostojewskim, która wzbudziła wiele zastrzeżeń. Czy nie warto by więc pomyśleć o przetłumaczeniu studium Dominiki Arban?

Książka Henri Troyata „Dostojewski” spotkała się z zarzutem, który by można przetłumaczyć na polski jako — brzoźnictwo. Jest to tzw. studium „budujące”. Troyat nie jest pierwszym z biografów Dostojewskiego obierających metodę „brzoźwania” autora „Biesów”. Krytyka przypomina, że już druga żona Anna Gri-

goriewna oraz córka Dostojewskiego zniszczyły korespondencję pisarza z jego pierwszą żoną Marią Dmitriewną oraz — z prawdziwą wielką miłością Dostojewskiego, jaką dlań była Paulina Susłowa.

Dostojewski zmarł w 1881 roku. Przesuńmy się teraz o osiemdziesiąt jeden lat do roku 1962 we Francji literackiej, która zgutowała gorące przyjęcie amerykańskiego pisarza Williama Styrona. Styron urodził się w 1925 roku. Do Paryża przybył z powodu ukazania się w tłumaczeniu francuskim jego trzeciej powieści „Zdobycz płomieni”. Pierwszą jego powieść „Łoże ciemności” nagrodzona przez amerykańską Akademię Sztuk i Literatury ukazała się w 1951 r. i również została przełożona na francuski. Trzecia „Długi marsz” znajduje się w tłumaczeniu. Krytyka amerykańska i francuska wykrywa w twórczości Styrona wpływy Faulknera, szczególnie „Azylu” i „Światłości w sierpniu”, czemu Styron nie

zaprzecza. Interesują go szczególnie zagadnienia różnic pomiędzy Południem, a Północą Stanów Zjednoczonych oraz sprawa upamiętnienia rasy czarnej w Ameryce wiążąca się z problemem odpowiedzialności i winy. Wynikałoby z tego, że największy wpływ na twórczość Styrona wywarł raczej „Intruz” Faulknera, który w tej powieści wypowiada pogląd, że sprawę dyskryminacji rasy czarnej na Południu Stanów Zjednoczonych powinno się zostawić do rozstrzygnięcia i załatwienia samym mieszkańcom Południa bez interwencji Północy, gdyż taka interwencja może tylko opóźnić wyrównanie krzywd zadanych rase czarnych, jak segregacja itp.

Styron ustosunkowuje się krytycznie do tego odłamu swego narodu, w którym jest reprezentowany nietolerancyjny typ Amerykanina zmaterializowanego, bez historii i bez tradycji. To krytyczne stanowisko przysporzyło mu w Stanach Zjednoczonych wielu wrogów.



Teatr „ARLEKIN” wystawia
obecnie sztukę pt.
„NAL I LAMAYANTI”

jest to baśń staroindyjska
z Maha — Bharaty wg.
przekładu A. Langego, w in-
scenizacji i reżyserii Henry-
ka Ryla.

RECENZJĘ Z TEGO CIE-
KAWEGO SPEKTAKLU ZA
MIEŚCIMO W NASTĘPNYM
NUMERZE.

Fot. A. Idziński



Aleksander Konicki MUZYKA w MARCU

Swoją wkład w dzieło upow-
szachnienia muzyki Szymanow-
skiego (80 rocznica urodzin i
25 — zgonu) wniosła Filhar-
monia Łódzka uroczystym kon-
certem, który ma szansę po-
zostania najwybitniejszym w
bieżącym sezonie. Właściwie
pomyślny program (zwykle
jeden z częstszych braków w
działalności tej placówki), wy-
soka jakość wykonania tak
trudnego dzieła, jak III Sym-
fonia Szymanowskiego, zasłu-
ga łódzkiego prawykonania
tego utworu przysporzyły już
wiele gratulacji Stefanowi
Marczykowi jako dyrygentowi
całości, zespołowi naszych
filharmoników oraz chórowi
Wyższej i Średniej Szkoły
Muzycznych przygotowanemu
przez Karola Mroszczyka i
Zygmunta Gzellę. III Symfo-
nia „Pieśń o nocy” na głos
solowy (świetna jak zawsze
Stefania Woytowicz), chór
mieszany i wielką orkiestrę
symfoniczną, dzieło wspania-

le i wzniecone, nie mające po-
dobnych w polskiej literatu-
rze muzycznej, stanowiło czoło
wieczoru, a poprzedzały je:
młodzieńczy utwór Mistra —
Uwertura koncertowa oraz
Tadeusza Szeligowskiego „E-
pitaflum na śmierć Karola
Szymanowskiego” na smycz-
ki. Oby Filharmonia nie po-
prześciła na tym i dała nam
okazję wysłuchania w tym
roku jeszcze innych utworów
Szymanowskiego (II Symfo-
nia, II Koncert skrzypcowy?),
a wskazane byłoby też
wykonanie kameralnych po-
zyty z jego wielkiego dorobku
twórczego.

Nie sposób pominąć w tym
miejscu omówienia pracy chó-
ru PWSM i PSSM w Łodzi,
wychowanego przez nieodża-
łowanej pamięci prof. Władysła-
wa Raczkowskiego, które-
go asystent, Zygmunt Gzella,
kontynuuje tę pracę (opieku-
nem chóru jest obecnie prof.
Karol Mroszczyk). Chórowi

temu, jego owocnej współpra-
cy z Filharmonią, zawdzię-
czamy długi szereg wielkich
dzieł od pierwszego powojen-
nego polskiego wykonania IX
Symfonii do ubiegłorocznego
wydarzenia — oratorium Ha-
nna dla „Juda Machabeusz”, a
wśród innych — wszystkich
najważniejszych utworów (z
chórami) Szymanowskiego —
„Stabat Mater”, „Harnasie”,
I akt opery „Król Roger”.

Powracając do marcowych
koncertów symfonicznych —
ukłon w stronę Dyrekcji za
zamieszczenie w programach
współczesnych kompozytorów
polskich. Mieliśmy więc wy-
mienionego już Szeligowskie-
go, wznowienie „Colas Breu-
gnon” Bairda, prawykonania
„Perpetuum mobile” Kie-
sielewskiego i utworu Karola
Mroszczyka „Canzona antica”
na smyczki. Inicjatywie Lidii
Grychtołówny winniśmy po-
znanie bardzo ciekawego Kon-
certu fortepianowego Alberta
Roussela (rzadko to rzecz —
wykonanie przez solistę cze-
goś nowego na naszych estra-
dach). W ramach cyklu
Beethovenowskiego — III
Koncert fortepianowy (Zbignie-
w Szymanowicz) oraz „Pia-
ty”, zwany na Zachodzie
„Emperor Concerto”, który
decydująco i precyzyjnie
zarazem zagrała Hanna Hein-
rich-Kowalczykowa. Ta mło-
da łódzka pianistka, wychow-
anka prof. Zofii Romaszko-
wej, zwróciła na siebie uwagę
już w zeszłym roku wyko-
naniem Koncertu fortepiano-
nowego Schumanna. Jednakże
nie da się zapisać na plus
Dyrekcji Filharmonii umiesz-
czania na afiszach młodych,
zdolnych solistów z Łódzkie-

go środowiska muzycznego,
gdyż w wypadku p. Heinrich-
Kowalczykowej chodziło o za-
stąpienie kogoś innego, a za-
pewnienia o dobrych chę-
ciach umożliwiania artystycz-
nego rozwoju młodym nie
znalazły w bieżącym sezonie
potwierdzenia poza jednym
(sic!) koncertem (Urszuli We-
gner). Za to tym większe uz-
nanie należy się p. Heinrich
za przygotowanie trudnego i
obszernego utworu w ciągu
dwóch tygodni.

Swą sztuką dyrygentką
zwrócił uwagę Czech Miloslav
Bervid, który znaną, nawet
ograną symfonię Dwořaka
„Z Nowego Świata” poprowa-
dził w sposób przykuwający
uwagę od początku do końca
i wydobyl z naszej orkiestry
brzmienie nieczęsto słysza-
ne. Witold Krzemiński pie-
knie i wykwintnie zagrał VII
Symfonię Beethovena, Arnold
Reizler I-szą Szymanowicz.
Wraz z Arkadiuszem Basz-
tą — orkiestrową wersję „Obraz-
ków z wystawy” Mussorgskie-
go. O naszym młodym dyry-

gencie trzeba powiedzieć wię-
cej. Trzeci już w tym
sezonie występ ukazuje
w najlepszym świetle stały roz-
wój jego talentu. Prowadzi on
pewną ręką zarówno pozycje
klasyczne — Symfonia Hay-
dna, Mozarta „Serenata Not-
turna” czy ostatnio uwertura
do „Uprawdzenia z Seraju” —
jak i efektowne, o
skomplikowanej instrumentacji
dzieła, jak „Preludia” Liszta
i omawiane „Obrazki”. Basz-
ta nie oszczędza siły, wygry-
wa „do dna” wszelkie walory
interpretacyjne dzieła, z każ-
dego jego wykonania przebiega
intensywnie przeżyte dągnięcie
utworu. Bardzo indywidualny
jest gest Basztonia, który wi-
zualnie niejako oddaje cha-
rakter dźwięku, a całą syl-
wetką swą sugestyjnością
pomaga w słuchaniu.

Czas powiedzieć, że orkie-
stra nasza nie zawsze sekun-
duje pasji dyrygenta. Zdarza
się niestaranność w trakto-
waniu akompaniamentów, szcze-
gólnie tych stale powtarza-
nych, często dopiero przy za-
granicznym gościu daje się
sobie wszystko. Niektóre in-
strumenty dete, zwłaszcza „bla-
cha” potrafią w najbardziej
ekspozycyjnym miejscu po-
puścić efekt całoci kolegów
(np. w obrazku „Samuel Gold-
berg” i „Smut”).

Z braku miejsca odłoży-
musz na później omówienie
innych muzycznych imprez
marcowych. Pragnęlibym na
zakochanie przeprosić za po-
czynione bez mej wiedzy
skrót w poprzednim felieto-
nie, wynikłe z przyczyn tech-
nicznych, a które mogły spo-
wodować niezadowolone pomi-
nienia.



Szanowny Panie Redaktorze

W nr-ze 11 „Odgłosów” dn. 18.
III, 62 r. ukazał się wiersz Ro-
mana Łobody „Perspektywa”.
Wcześniej, bo w końcu 1961 r.
Wydawnictwo Łódzkie wydało
tomik moich wierszy „Mój anioł
lewy”. W tomiku tym między
innymi ukazał się wiersz „Mo-
nolog podwójny”. Chciałbym
bardzo, aby Pan łaskawie po-
równał teksty wierszy i wyciąg-
nął odpowiednie wnioski.

PERSPEKTYWA

Jeśli podejść do ciebie
to tak
jakbym był w tobie
jeśli już jestem w tobie
to tak,
jakbyś już była we mnie.
A jeśli jesteś we mnie
to
pójdę na sam szczyt kuli
skąd widać małe domki
i srebrne nitki
od płaskiej wody odbiegające
i czarne lasy na żółtej ziemi
i chmury i wszystko, wszystko
pod tobą.

MONOLOG PODWÓJNY

Słowo, które mówię
sam w sobie
to tak jakbym mówił
sam do siebie
ty pójdziesz przede mną
ale i za mną iść musisz
jesteś nade mną
mówię sam w sobie,
lecz podę mną byłeś i będziesz
jakbyś był sam pod sobą
przeło — mówię do siebie
sam nad sobą jesteś
jako dwie stule
mówię sam w sobie
albo mówię do siebie
pan w panu lub pan w panu.
Bo mnie po ich lekturze wy-
daje się, iż można tu zauważyć
coś więcej niż tak zwane „wpły-
wy”. Zresztą nie jest to jed-
yny tekst p. Łobody, w którym
dale się tego rodzaju zjawisko
zaobserwować. Uważam, że mło-
dym poetom należałoby żyć
więcej samodzielności i praco-
witości. Pisanie wierszy bowiem,
to nie to samo, co dubanie w
zębach, zwłaszcza cudzych.
Łączę wyrazy poważania
ZBIGNIEW KOSIŃSKI

Szanowny Panie Redaktorze!

Oświadczam, że do części for-
malnej listu Kosińskiego trudno
mi się ustosunkować, bowiem
prócz elementów humorystycz-
no-satyrycznych, które zawiera, świad-
czy o charakterze i kulturze Au-
tora wypowiedzi.

Natomiast część „merytorycz-
na” listu, stawiająca zarzut, ja-
ko bym podjął w swoim wierszu
pt. „Perspektywa” (Odgłosy nr
11) elementy jego poetyki, po-
legające na mówieniu: „Pan w
Panu, Pan obok Pana, Pan nad
Panem” czy coś takiego, nie ma
po prostu sensu, gdyż w „Per-
spektywie” jest: — Jeśli podej-
ść do ciebie to tak jakbym był
w tobie, Jeśli już jestem w to-
bie... — Chodzi tu zatem o ideę
względnie kobieci, a Kosiński-
mu o jakiegoś Pana i jest w
tym zasadnicza różnica upodo-
bań.

Grubo zresztą przed urodze-
niem się „Lewego Anioła” Ko-
sińskiego wydałem zbiór wierszy
pt. „Szości Smak” (Wyd.
Łódzkie 1959 r.) i jest tam mnós-
two przykładów „poetyki”
wchodzenia w siebie (lub w ko-
goś) wychodzenia z siebie, kra-
żenia itp. (str. 20, 23, 40, 67, 71,
81).

Nie mam pretensji, Panie Re-
daktorze, do Kosińskiego, że
czytuje moje wiersze, nie po-
mawiam go również o naśladow-
nictwo i życie dalszych sukce-
sów na obranej drodze.

Z poważaniem
ROMAN ŁOBODA

sedno rzeczy MARIAN PIECHAL

Nowoczesność i śmieszność

Oto jakże trafny i zawsze
na czasie cytat: „Nowoczes-
ność to pojęcie wieczne. No-
woczesność wczorajsza jest
śmieszna, dzisiejsza — po-
ciągająca, ponieważ zdaje
się jej, że będzie podobna
do przyszłej. Jutro każdy z
niej śmiać się będzie. A ta
jutrzejsza? Tak łatwo prze-
widzieć. Wąj pożera swój
własny ogon. I tak dalej”.

Rzeczywiście nowoczesność
jest pojęciem panującym ak-
tualnie zawsze czyli wiecz-
nie. Homer w swoim czasie
był nowoczesny, i Szekspir,
i Beethoven, i Chopin, i Mi-
chał Anioł, i Rodin. A jakie
nowoczesny był Przybyszew-
ski i choćby Marinetti, z któ-
rych dzisiaj się śmiejemy! Ale z
Homera, z Beethovena i z
Michała Anioła jeszcze
się nie śmiejemy, tyle tylko,
że niektórzy znieść ich nie
mogą, po prostu nie intere-
sują się nimi, odstawiają ich
do lamusa.

Tak więc nie każda „no-

woczesność wczorajsza jest
śmieszna”. Śmieszna niewąt-
pliwie jest już dzisiaj sece-
sja, tak samo futurizm,
dadaizm, nadrealizm, podob-
nie jak barok i rokoko, ale
na przykład renesans nie jest
śmieszny ani tym bardziej
wcześniejszy od niego gotyk.
Czym wytłumaczyć, że w
większości swoich czułości-
wych utworów Schumann i
Schubert są dzisiaj śmieszni,
a Berlioz i Chopin nie są
śmieszni, choć urodzili się
mniej więcej w tym samym
czasie i reprezentują w mu-
zyce ten sam styl romantycz-
ny.

Ano wytłumaczyć to nie
trudno. Sprawa jest bardziej
prosta niżby się z pozoru wy-
dawała. Mianowicie w tym
wypadku kiedy nowoczes-
ność jest synonimem mody
i nie poza tą czasową modą
w sobie nie zawiera, staje się
zaraz nazajutrz z nastaniem
nowej mody śmieszna. Tylko
nowoczesność, która wykra-
cza poza ramy swego czasu
czyli mody i zawiera w so-
bie coś, co staje się trwałym
elementem także i następ-
nych epok, nie jest śmiesz-
na, gdyż jest niezależna od
mody. Taką nowoczesnością
był właśnie gotyk, był rene-
sans, był romantyzm w dzie-
łach niektórych wielkich

twórców, którzy przekraczali
granice swego czasu czyli
mody romantyzmu, jak na
przykład Mickiewicz i Cho-
pin.

Tymczasem nowoczesność
jako synonim mody typu se-
cesji Przybyszewskiego, fu-
turizmu Marinettiego czy
dadaizmu Tzary jest śmiesz-
na i nie do zniesienia, gdyż
jest pusta jak bańka mydlana,
nie zawierająca w sobie
żadnego elementu, który by
można przenieść poza modę
do następnego okresu sztuki.
W tym sensie im bardziej
coś jest supernowoczesne,
tym więcej w następnej epo-
ce staje się śmieszne. Inny
mi słowy: śmieszne jest to,
co się zbyt szybko starzeje.
A nie się tak szybko nie sta-
rzeje, jak właśnie moda czyli
zewnętrzny pozór bez wew-
nętrnej treści.

Gotyk, renesans, roman-
tyzm, to nie były mody, to
były odrębne style życia, wy-
nikające z odmiennych treś-
ci. Ich żywot nie skończył
się razem z czasem, w któ-
rym powstały, gdyż wiele z
ich treści przeniknęło do na-
szego współczesnego życia
jako trwałe jego elementy
i dlatego te style, chociaż
dzisiaj już niemodne, nie są
jednak śmieszne, ponieważ
w sposób utajony niejako

wciąż jeszcze są żywotne
i aktualne.

W podobny sposób wciąż
jeszcze żywotne są wszelkie
rodzaje wątków twórczości
ludowej, podań i mitów sta-
rożytnych, które przez ciągłą
aktualność swą przenoszą
treści wykraczające zawsze
poza ramy doczesnych mód,
mieszcząc się doskonale w
granicach każdorazowej no-
woczesności. Na mitach i po-
daniach ludowych oparta by-
ła twórczość Homera i sta-
rożytnych tragiczów i dlatego
do dziś są żywotni, stając
się podstawą nowoczesności
takich współczesnych twór-
ców, jak Gide, Giraudoux,
Apollinaire, Cocteau, Joy-
ce, Sartre, Camus, Ano-
uill. Tak samo w
muzyce czerpali z folkloru
swe inwencji zarówno ro-
mantycy, jak i najbardziej
nowocześni: Ravel, Szyma-
nowski, Strawiński, Bela
Bartok, a nawet dodekafo-
niści Berg i Webern.

Powyższe myśli i refleksje
towarzyszyły mi przy lektu-
rze dwóch ostatnio wysz-
łych książek: „Teatr minia-
tur” Juliana Wołoszynow-
skiego i „Pieśń ludu pol-
skiego” ze zbiorowych
„Dzieł wszystkich” Oskara
Kolberga. „Teatr Miniatur”
zawiera kilka odświeżonych

starych wątków i odwiecz-
nych mitów dramatycznych,
świadcząc o ich nigdy nie
przedawnionej aktualności.
Na przykład ten cytat na po-
czątku tego artykułu to sło-
wa Orfeusza z miniatu-
ralnej o nim „Zaś tom Oskara
Kolberga to zapoczątko-
wanie monumentalnej edycji
podstawowych wątków słow-
nych i muzycznych naszej
kultury narodowej, czerpali
bowiem z tych wątków sam
Mickiewicz i Chopin, nie mó-
wiąc o Słowackim i Moniusz-
ce. Te wtki stały się głów-
nymi i trwałymi elementami
ich dzieł, nadając im piętno
narodowe i nieprzemijające.

Pieśń ludowa bowiem tak
również słowna jak i melo-
dyczna, podobnie jak i sztu-
ka ludowa w ogóle, nigdy
się nie starzeje i jest zawsze
aktualna. Ma wartość mitu,
czyli zawiera treść przenoś-
ną, która jest jądrem każ-
dej nowoczesności.

Prawdziwa ludowość w ja-
kiejkolwiek naiwnej wyraża-
laby się formie nigdy nie
jest śmieszna. Bronię ją przed
nią jej autentyczność. Ponieważ
śmieszna jest tylko imitacja.
Hejże, wy supernowocześni
za wszelką cenę, uważając
dzidebko, ażebyście jutro nie
stali się zbyt ultraśmieszni!

Tratwy

żonie

czy zawracać nurty powiązane pniami
w rzekę spójr
rozwiła brzegi do odlotu
oto tyją mielizny opierzone wczoraj
już je wyżyły znoszą do pasa przytroczyły
nie wierz mostom co tutaj przystadły na chwilę
i w uście depeszują ostatnie transporty
słusza miejsce zarasta

w którym wtedy stałaś przezroczyta
aż wodę na tobie podarłem

po co nurty zawracać gdy z nich zdjąłem korę
co teraz zsyca w echo tłumione przez dźwięki
więc ten niewód stepiony o wiry i prądy
wyciągnę

aby wreszcie obsechł z twoich włosów
w rzekę spójr — już tratwy ostatnie gubi
już lato wchodzi w ślimaka skorupy
zostanie w powietrzu ptaków błady poblask
co świecą powoli aż im zdmuchną skrzydła

Dorzecze

dorzecze moje obciążone skórą
nad ranem splawiam przemęczone usta
dopływ kończyn potyskuje chłodno
plecy je przyjmą i popłyną dalej
szuwar włosów wciąż wtórują wodzie
gdy woda pluśnie o poduszki sytkość
przede mną ziemia która teraz rodzi
wysmukłe nogi wzdłuż brzd rozrzuconych
w obszarze płynnym wykopuje wiry
taka w nich smukłość artystycznych studni
pod nogą miasto takie chybottliwe
bije burtami o brzeg krajobrazu
mosty tratują kielkujące nity
już na pochylonych moje ręce wznoszą
można popłynąć w przezroczyść oczu
gdy dźwięki splam o brzasku pod głową
który poczęłam chodzę tu poganin
nim bunkry siana do stodół pozwóz
nim w rusznikarni rozmontują zieleń
to głowa nie przebijesz pogody
przysiąd geometry i równik przyniosą
aż im centymetr za śmierć moją wyjdzie
w moim dorzeczu wody będą wzbierać
aż z cum się zerwą
ja
będę potopem

JAN HUSZCZA

Opowiadanie zaopatrzeniowca

Gdyby nasi pisarze mieli
wśród swoich znajomych
jakichś doświadczonych, skłon-
nych jednocześnie do wynu-
szenia zaopatrzeniowców — nie-
wątpliwie nasza beletrystyka
byłaby bogatsza o kilka intere-
sujących powieści współ-
czesnych, ilość zaś przekładów
kieskich powieści przygodo-
wych czy nawet kryminalnych
nieco zmalałaby.

Zaopatrzeniowcy — to szcze-
gólna kategoria ludzi, spędza-
jących czas w pociągach i sa-
mochochach, w hotelach i ho-
telikach, wojażujących po ca-
łym kraju w poszukiwaniu
różnych autorów i półfabry-
katów, części wymiennych i de-
tali, niezbędnych dla nie-
zakłóconego funkcjonowania
zakładów czy przedsiębiorstw,
które mają zaszczyt represen-
tować.

Ich doła rozmaicie w róż-
nych okresach wyglądała. Sta-
bilizacja stosunków gospodar-
czych, rozwój coraz bardziej
prawidłowych powiązań mię-
dzy przedsiębiorstwami — o-
smuły siwą magielką zapom-
nienia pierwsze lata, lata bo-
haterkiego romantyzmu. Nie-
mniej i teraz nie jest to za-
jęcie, które mogą wykonywać
osoby bez przedsiębiorczości
i rzutkości, bez fantazji i za-
miłowania do ryzyka, bez
smakulki i nawet pewnej, po-

wiedzielibyśmy żyłki awan-
turniczej.
Niejeden zaopatrzeniowiec
nie skończył, niejeden w cią-
gu paru lat pracy przeżył wię-
cej, niż mógł przeżyć zwy-
czajny, chodzący regularnie
na ósmą rano do biura,
śmiercielnik. Gdybyśmy chcieli
szukać porównań, to zaopa-
trzeniowiec jest tej rangi pra-
cownikiem wśród innych pra-
cowników, co pilot z myśliwcą
wśród pilotów z innych ma-
szyn.

Ale jakoś zaopatrzeniowców
nikt dotąd z pisarzy nie za-
uważył. Tymczasem zaś jed-
ną z nich zapuścił brody i wpa-
dł w ciężką melancholię, dru-
dzy są stalymi bywałcami
przechodni antyalkoholowych
lub, w dalszym ciągu, gospód
na przedmieściach, trzeci
przeżył przewidziane przez
prawo odosobnienie i przed-
wczesnie osiwiał, ale zdążył
przy tym coś niecoś zaszcze-
dzić: żyją teraz w małych
domkach z ogródkami, w któ-
rych pielęgnują kalarepę, pa-
chnący groszek lub baniane
dymy.

Mój rozmówca, przygodnie
poznany w dalekobieżnym po-
ciągu, narzeka tylko na mar-
ską wótroby i, przynajmniej
pozwolnie, trzyma się nie-
jego zaś oczy, granatowe jak
tarnina, frywolnie zerkają na-
wet na kobiety poniżej dwu-

dziestki. Los go, jak się zdaje,
oszczędził: był zaopatrzeniow-
cem w niezbyt eksponowanej
spółdzielni pracy, więc też i
jego przeżycia służbowe nie
wiele miały wspólnego z Ko-
lumbami czy Pizzarami zaopa-
trzenia, gdzie stawka zawsze
szła o całe wagony gorąco-
kowo poszukiwanych tur o
określonej średnicy albo ko-
lorowych metali, jakichś ar-
maturowych i szczegółów instal-
acyjnych, na które czekali w
macierzystym zakładzie, nie
tylko dyrektorzy, ale i umun-
durowani osobnicy, czuwający
nad wykonaniem zadań przez
zaopatrzeniowców.

Osiągnął w swoim czasie
niejakiego rozgłosu eksperymen-
tu, na który zdecydowało się
pewne przedsiębiorstwo prze-
mysłu terenowego. Jego dy-
rektor zaangażował w charak-
terze zaopatrzeniowca, na

przedsiębiorstwa o urozmaico-
nym profilu, ani jakichś tam
skomplikowanych zatrzasków
metalowych.
Przytaczamy to jedynie dla
pełniejszej — choć ciągle da-
lekkiej od wyzercpania — rzec-
cowej rejestracji kłopotów,
jakie miewały, a i teraz miewa-
ją niektóre placówki. Przy-
taczamy, śpiesznie wracając
do naszego zaopatrzeniowca.

Pewnej zimy mój rozmówca
wyjechał do wojewódzkiego
miasta z zadaniem zdobycia
tony cienkiej blachy walcowa-
nej, od czego zależał los pew-
nej pozycji w asortymencie.
Miał, ma się rozumieć,
wszelkie urzędowe zapotrebo-
wania oraz rekomendacje i
adresy. Blacha jednak w
owym miesiącu, szczerze o-
śmieszającym parki i dachy,
była czymś tak trudnym do
osiągnięcia, jak kiedy indziej

go trzeba, na wódkę z kola-
cją, a przede wszystkim ma
w zapasie najskuteczniejszy
argument: jakieś materiały
czy części wymienne, które
od paru lat bez powodu spo-
czywają w ciemnych czelu-
ściach magazynu własnej pla-
cówki, a których inne placów-
ki bezskutecznie poszukują.

Zdarza się, że zaopatrze-
niowcy, reprezentujący różne
zakłady i zjednoczenia, urzą-
dzają coś w rodzaju giełdy:
jeden ma blachę, drugi meta-
lowe sprężarki, trzeci siatkę
drucianą, czwarty większe za-
pasy trzyszczekowych uchwy-
tów do wiertel... I oto dyspo-
nujący trzyszczekowymi uch-
wytami dochodzi do porozu-
mienia z reprezentantem me-
talowych sprężarek, aby po-
zoferowaniu ich poszukują-
cemu siatkę drucianą — do-
trzeć do zaopatrzeniowca, go-
towego rzec się w imieniu
zakładu pewnej ilości szcze-
gólnie cienkiej blachy walcowa-
wanej.

Mój zaopatrzeniowiec sie-
dział tydzień w mieście wo-
jewódzkim, z tego dwa dni w
nie opalonym pokoju, nim
wpadł na trop — pieszczony
w snach, fantazyjnie zjawia-
jącej się w spietrzonym na-
grożdzeniu — cienkiej bla-
chy walcowanej.

Choć nie cierpiał wódki,
znowu musiał trzy razy urzą-
dzić się i raz trafić do komi-
sariatu. Choć nie lubił gry
w cymbargaja, wypadało
wziąć w niej udział aż po-
czas czterech całonocnych po-
siedzeń. Wreszcie, kiedy już
raczej zastanawiał się nad
racją przeniesienia się do
innego miasta wojewódzkiego,
zabrzączył metalicznym po-
dzwiekim arkusze blachy.

Z pieszczolowitością, jaką nie
zawsze odznaczają się nawet
konwojenci, towarzyszący apa-
ratom radiowym albo telewi-

zależnie atrakcyjnych warun-
kach, miejscowego różdżkarza.
Różdżkarz ów, niestety, cał-
kowicie zawiódł! W czasie
swojej krótkiej działalności
służbowej wykrył jakiś zani-
kowy pokład ropy naftowej,
dwa źródła z wodą mine-
ralną o właściwościach po-
dobnych do wód krynickich,
ale nie potrafił nigdzie znaleźć
ani większej partii przed-
siębiorstwa, ani pewnych
garbników, nieodzownych dla

szkół artystycznych. Ale, o ile
wiem — zanim jeszcze Stacja
Krwiodawstwa go opróżni (na
stąpi to w czerwcu) napłynęło
do Prezydium Rady Narodowej
m. Łódź kilkanaście, a może
już dziś kilkadziesiąt ofert od
różnych instytucji. Wiadomo,
że o wspomniany lokal ubiega
się Wyższa Szkoła Muzyczna,
Oddział Łódzki Polskiego To-
warzystwa Ekonomicznego
(instytucja spełniająca bardzo
pożyteczną rolę w Łodzi), Wy-
dział Zdrowia, Oddział Łódzki
Polskich Wydawnictw Nauko-
wych i wreszcie nasze Łódz-
kie Wydawnictwo, które do-
tychczasowy lokal sublokator-
ski musi opuścić.

Ciekaw jestem jak Prezy-
dium Rady Narodowej z tego
wybrnie. Możliwości miasta są
na dłuższą metę ograniczone.
Czy więc słusznie zrobiła p.
Suliborska kierując swój po-
stulat pod adresem władz te-
renowych? Czemu nie pomyś-
lała o tym, że jakieś obowiąz-
ki w stosunku do szkół arty-
stycznych powinno wykony-
wać Ministerstwo? Na ogół
panuje przekonanie, że Mini-
sterstwa powinny się przyda-
wać w takich sprawach. Czy
Prezydium Rady Narodowej
może przekazać szkołom ar-
tystycznym jakiegokolwiek budy-
nek, kiedy dla pełnego przygo-
towania reformy szkolnej brak
nam, jak dotąd, izb lekcyjnych,
zwłaszcza w najbardziej za-
gęszczonej dzielnicy miasta, a
więc w Śródmieściu? Zgadza-
m się z autorką, że sytuacja lo-
kalowa w szkołach artystycz-
nych nie jest dobra. Ale nie
należy wprowadzać opinii
publicznej w błąd kierując
wnioski pod niewłaściwym
adresem. Przytoczyłem chyba
aż nadto przykładów świad-
czących o pozytywnym sto-
sunku władz miejskich do
wyższych uczelni.

Falszywe wnioski nie pro-
wadzą jednak do celu. Władze
miejskie miały dość kłopotów
w latach 1959/60 przy prze-
mianowaniu instytucji artystycz-
nych. Były one rażąco niedo-
inwestowane przez Min. Kul-
tury i Sztuki. Wystarczy
wspomnieć tylko teatry i kina

Łódzkie. Za ich sytuację Pre-
zydium Rady Narodowej do-
stało niejedną raz w skórę,
a przecież dobre klapsy powi-
nien otrzymać ktoś w Warsza-
wie.

Można mieć pretensję do
naszych władz miejskich ale
inne. Można mieć pretensje
o to, że te skromne kredyty
inwestycyjne przeznaczone
przez poszczególne minister-
stwa na rozwój bazy łódzkich
wyższych uczelni nie są wy-
korzystywane, ponieważ łódz-
ki zarząd budownictwa nie
troszczy się absolutnie o ter-
minowe wykonanie inwestycji
szkół wyższych. Wystarczy
dać, poza wspomnianym już
budynek farmacji, przewle-
kły budynek domu akademickie-
go przy Al. Politechniki. Ale
czy winić należy tylko władze
miejskie? Myślę, że niemałą
winę za ten stan ponoszą
służby inwestycyjne, a przede
wszystkim jak dotąd mało o-
peratywny Zarząd Inwestycji
Szkolnictwa Wyższego, który
(taka istnieje opinia) nie po-
trafił z uporem zabiegać o ter-
minowe wykonawstwo. Myślę,
że bezpośrednio zainteresowa-

ni wezmą sobie te uwagi do
serca i sprawy szkół wyż-
szych będą lepiej załatwiane.
Jeżeli zaś artykuł ten przy-
czynił się do bardziej wszech-
stronnego poinformowania o-
pinii społeczeństwa to sprawa
wyższego szkolnictwa łódz-
kiego chyba tylko na tym zy-
ska.

A. J.

Str. 7

odgłosy

str. 7

Nowy system

Dokończenie
ze str. 1

Sprawność łączy konkretne zadanie z wymaganiami natury etycznej-moralnej np. KIM BYĆ?

Zadanie: zorganizujemy w szkole akcję związaną z wyborem zawodu.

Wymagania:
1. Ułożymy plan akcji, np. „Wieczór przyszłości” (program artystyczny i konkursy związane tematycznie z różnymi zawodami, mapa lub tablica informująca o możliwościach dalszej nauki, o zapotrzebowaniu na fachowców z różnych dziedzin w związku z planami rozwoju naszej okolicy, wycieczka „Kim być” trasa ciekawych instytucji, zawodów, szkół, audycji radiowej itp.)

2. Zapoznamy się z planami rozwoju naszej okolicy (powiatu, województwa) i zapotrzebowaniem na fachowców w związku z planami gospodarczymi. Na tej podstawie wybieramy zawody, które należy propagować w czasie akcji.

3. Poszczególne odcinki akcji przydzielamy brygom i komisjom, wybieramy dowódców i kierowników. W planowaniu i w tej pracy wszyscy bierzemy udział niezależnie od tego, kto jaką pełni funkcję.

4. Nie sprawdzamy czy praca jest wykonywana, zanim upłynie wyznaczony termin — wierzymy, że jeśli ktoś się czegoś podejmie, to będzie się starał dotrzymać słowa.

Młodzież starsza zdobywa początkowo miano wędrowników, realizując trzy dowolne znaki spośród sześciu, tzn. znaku Przyjaźni, Pracy, Wiedzy, Organizatorów Wolnego Czasu, Szturmu na wieś, Organizatorów dzieci (znak — zestaw tematycznie określonych zadań). Najwyższy etap pracy stanowi miano pionierów. Pionierzy działają już w oparciu o własny program, utworzony na podstawie wybranego kierunku działalności polityczno-społecznej ZHP.

I tu znów kilka słów informacji. Harcerstwo widzi następujące zagadnienia, które na miarę sił młodzieży może realizować związek: internacjonalizm, socjalistyczna szkoła, walka o równe prawa wszystkich dzieci, kształtowanie wzorców spędzania wolnego czasu, praca — zawód, przebudowa wsi. Właśnie powiązanie drużyny z kierunkami programu harcerstwa pod hasłem „z innymi dla innych” jest bardzo cenne w nowym systemie. Dodajmy do tego samorządność i demokratyzację, wynikającą z dobrowolności wyboru zadań do realizacji i kierujących nimi funkcji oraz z przyznawania miar i oceny własnej pracy przez sam zespół — a otrzymamy obraz nowego systemu związku.

Tu może paść pytanie, czy nie zagubiono gdzieś pojedynczego harcerza w całej tej konstrukcji. Nie, bo istnieją również stopnie indywidualne, które może przyznać zastęp tym swoim członkom, którzy spełnili określone wymagania, ale dopiero po zdobyciu miana. A więc w interesie zespołu leży nie

zdobycie stopni, lecz wyłącznie miana.

Społeczno-pedagogiczne podstawy takiego układu są niewątpliwie słuszne: jest on skierowany na jednostkę, ale poprzez zespół, wprowadza świadomość w konflikty, uczy organizować się w zespoły do robienia słusznych rzeczy, występuje przeciwko kibicowaniu życiu. Przeciwnie z faktu — co robisz — wynika twoja pozycja społeczna. Wychowanie — to nie tylko poprawianie ludzi.

Powtarzam ciągle epitet „nowy”, bo system ten poprzedzony szeroką akcją dyskusyjną i eksperymentalnymi akcjami został zatwierdzony jako obowiązujący przez Naczelną Radę Harcerstwa dopiero w grudniu 1961 r. Kadra instruktorska, drużynowi, zapoznali się w pełni z jego elementami na obozach szkoleniowych w okresie ostatnich ferii zimowych.

Ten olbrzymi skok jakościowy ZHP od zadań użytkowych, bezkonfliktowych do działalności polityczno-społecznej stwarza wiele trudności. Tymi nowymi zadaniami trzeba zapalić instruktorów. Konieczność historyczna tych zmian jest zupełnie zrozumiała, trzeba zaspokoić zapotrzebowanie młodzieży na nowy typ organizacji, niemniej na szeroką skalę nikt jeszcze taką metodą nie pracował, okres wstępny jest więc wyjątkowo trudny. Po raz pierwszy dzieci muszą się same ocenić. Rzecz ryzykowna, wymagająca dużej uczciwości, ale na pewno o olbrzymich wartościach wychowawczych.

System nie jest jeszcze zamknięty. Życie podkłada nowe sprawy, nowe zadania. Część z nich będzie mieć charakter lokalny, specyficzny dla danego środowiska, stąd obecnie opracowywane są oznaki chorągwi, w których każde z województw pragnie umieścić zadania szczególnie dla siebie ważne. Również Łódź dopracowuje się własne oznaki.

Byłam w wielu zespołach, rozmawiałam z drużynowymi. System niejednokrotnie pomógł w organizacji planowej pracy. Jednak zauważyłam jeszcze zjawisko spływania zadań w realizacji, brak samodzielności i samorządności, którym na przeszłość stoi cały balast tradycyjnego wychowania w szkole i w związku. Toteż reformy w harcerstwie powinny koniecznie mieć poparcie w zmianie ustroju szkolnego. Drużynowych, starających się pracować nie na zasadzie kapłanowania, lecz współpodparzenia, świadomie powołując zespoły, nie może otaczać pustka.

I na koniec informacja o łódzkim harcerstwie. 410 drużyn (350 młodszych, 60 przy liceach i szkołach zawodowych) na ogólną ilość 246 placówek szkolnych skupia ponad 13.000 młodzieży, w tym 2.000 młodzieży starszej. W komendach hufców i komendzie chorągwi pracuje w przeważającej części społecznie 116 instruktorów, liczba opiekunów szkolnych wynosi 254. Wszyscy oni dążą do tego, aby zrealizować tak odpowiedzialne zadania, aby harcerstwo z organizacji świetlicowej stało się ruchem prawdziwego wychowania. I jeśli już można o coś prosić w imieniu instruktorów, to o społeczne poparcie dla tak ważnego działania.

ANNA KULIGOWSKA



Rozmowy o „Wylęczeniu” ■ Rozmowy o „Wylęczeniu”

Trudna powieść?

„Wylęczenie” to niewątpliwie najtrudniejsza powieść w dorobku twórczym Gomolickiego. Autor porusza tu problem wyobcowania człowieka współczesnego. Zagadnienie tylekroć omawiane, stara się Gomolicki, podobnie jak w „Ucieczce”, pokazać inaczej. Czy mu się to udało? Odpowiedź na to pytanie nie jest łatwa. Bohaterami powieści są ludzie tworzący pewną społeczność i człowiek z niej wylęczony. W przedmowie do książki czytamy, że autor „porusza zagadnienie psychiki człowieka współczesnego”. Jak wygląda taki człowiek u Gomolickiego?

Nie jest to na pewno postać typowa. Lekarz miałby na określenie bohatera wygodny schemat: psychopata cierpiący na schizofrenię (epizod z Lustrzańskim), który spędza kilka dni w małej miejscowości wypożyczkowej. Ale to tylko schemat. Trzeba ten schemat ożywić. Pisarz stara się to uczynić. Nad bohaterem od kołyski ktoś się pastwi — począwszy od matki (która w „Wylęczeniu” jest pokazana jako uosobienie podłości) a skończywszy na kolegach biurowych. Stąd mamy do czynienia z człowiekiem — kompleksem, bez najmniejszej energii życiowej, odczuwającym lęk przed własnym cieniem. Czy bohatera powieści można nazwać człowiekiem współczesnym?

Wydać mi się, że nie. Oczywiście, skomplikowana psychika ludzi współczesnych powoduje momenty „wylęczenia”, ale nie można się zgodzić z wyobcowaniem całego życia. Bohater powieści mówi: „Zbyt późno zauważyłem, że znajduję się w otoczeniu”, a to nie pozwoliło mu przystosować się do niego. Jest to człowiek — cień, stanowiący jednostkę absolutnie nieprzydatną w społeczeństwie. Nie zrobił dla ludzi ani nic złego, ani nic dobrego; równie dobrze mógłby w ogóle nie istnieć. Gomolicki szuka przyczyn istnienia takich ludzi. Tłumaczy to obecnością ludzi — potworów, którzy okrażają tamtych od chwili urodzenia. Autor pisze: — „Są ludzie z wyobraźnią na zawsze wykoślawioną, spotworniałą. Wydać mi się, że do tego muszą posiadać jakieś zasady predyspozycje”. Gomolicki sugeruje tu istnienie takich ludzi ale właśnie tylko takich pokazuje w otoczeniu bohatera (nie biorąc pod uwagę postaci drugoplanowych, jak np. kelnierka). Świat ukazany przez pisarza jest „wykoślawiony” i „spotworniały”. Taka wizja rzeczywistości przypomina tzw. „czarną literaturę”. Gomolicki pisze o swym bohaterze: — „Jego młodość była inna, a biografia ciężka i

ogranicza możliwości widzenia”. Z powieści technicznie ciężka, pesymistyczna atmosfera, której nie jest w stanie rozwiązać ostatni fragment, gdzie autor próbuje przeszczepić nutkę optymizmu. Nie wierzę, żeby bohater mógł „wylęczyć się” w społeczeństwo, jeśli nie umiał tego zrobić przez większość życia.

Temat obrany przez Gomolickiego, był bez wątpienia bardzo trudny. Należy żałować, że postać skreślona przez autora nie jest nam bliska, że patrzymy na nią z dystansu, że czasami jej nie rozumiemy. „Wylęczenie” na leży do powieści nielubianych, a co za tym idzie przeznaczonych jest dla pewnej elity czytelników. Dla nich będzie niewątpliwie książką bardzo ciekawą i dyskusyjną. Zabrając głos w dyskusji nad „Wylęčeniem” pragnąłbym dodać, że nie sadzę, aby powieść ta była wyrazem krokiem naprzód w twórczości Gomolickiego.

TADEUSZ WIĄCEK

Czym jest nowa powieść Gomolickiego? Co ma z niej wynikać? Czy to, że nie można się z życia wylęczyć? Czy jest przeżycia osiadają w nas głęboko i powracają natrętnie w najbardziej nieoczekiwanych momentach i atakują nas? Ze człowiek to istota nieczłowieka? Ze nie można go poznać? Postawienie tych pytań wydaje się usprawiedliwione, ponieważ powieść pełna jest zawiloci myślowych i zwichrzonych kompozycyjnych przy całej klarowności konstrukcji. Ale jeżeli? odpowiedź na te pytania miałaby wypaść twierdząco, to byłyby to stwierdzenia banalne, a niektóre z nich wręcz irracjonalne. Zresztą żeby i tę problematykę uratować, załóżmy od tego, jak zostały one przedstawione w określonych sytuacjach życiowych, w ludzkich konfliktach. Ale w „Wylęczeniu” nie o to wcale chodzi. Sprawy wielkich uogólnień, wielkich syntez, wypowiedziane sady całościowe nie są własnością autora, nie stanowią jego twórczych przemyśleń ujętych w oryginalny system. Zostały zaledwie powtórzone.

W „Wylęczeniu” ważne jest coś innego. Tu odbywa się drażnienie małych tkanek zjawisk, zdarzeń, stanów psychicznych, wrażeń — bardzo wnikliwe i zdecydowane. Przekształca się ono w analizę, dającą daleko pełniejsze wyobrażenie o istocie i życiu niż najwstrząsające konstatacje o

prawach rządzących tym życiem. W tym chyba tkwi największa wartość „Wylęczenia”: w prześledzeniu wszystkich krańcowych odchyleń od zachowań przyjętych za normalne, którym podlega człowiek pozostający pod działaniem szczególnych — ale przecież codziennych — okoliczności, warunków i czasu. Analizę czasu nazywa autor ten proces „rozwijający kłębek przypomnień”, który powoduje, że „czas rozkłada się na najdrobniejsze części — tak nieuchwytnie, że podważają wiary w jego istnienie”. Ale autor powiada przez to o wiele więcej, niż to się na pierwszy rzut oka wydaje. Pokazuje mianowicie niezniszczalność tego czasu, przekazuje przekonanie, że czas jest jakby tylko zamkniętym naczyniem, zjawiskiem tworzącym i tworzoną zarazem, zaprzeczanie tego istnienia jest jednocześnie jego potwierdzeniem. Autor ujawnia przez to „migotanie czasu” barwę istnienia, cenę i wartość ludzkiego życia, jego znamiona, treść, w jego nieprzełiczonych kształtach i wcieleniach.

Metafora jest chłonna i szeroka i dlatego, kiedy Gomolicki mówi o „przepływach bliżej nieuzasadnionej radości”, to nie tylko chodzi mu chyba o jej nieoznaczoność, lecz raczej o (przemijające czy nieprzemijające) przeświadczenie, że są rzeczy, dla których warto żyć, dla których warto ponieść trudy, bez względu na to, czy to przynosi radość czy cierpienie. Tu nie chodzi o pojednanie ze światem zastanym, a raczej dążenie, aby spełnić coś, czego nie ma, a co jest możliwe. I dlatego ważna jest nie tylko sama konieczność opowiedzenia się za czymś, ale i powód, dla którego trzeba się opowiedzieć. Innymi słowy, nie to jest największym dylematem, że im większe są wymagania, tym trudniej uzgodnić je ze stanem rzeczywistym, daleko donioślejszy problem polega na tym, że odpowiedzialność za postępowanie człowieka, jego stosunek do innych opiera się nie tylko na rozumieniu rzeczywistości, na znajomości panujących między ludźmi zależności i przyczyn określających te zależności, ale i na próbach rozluźnienia, rozsunienia zaciśniętych wokół człowieka społecznych stereotypów zachowania w akcie świadomego indywidualnego działania.

Jeżeli więc autor „Wylęczenia” mówi w końcu o żywiole, to niechybnie ma na myśli żywioł dobroczynny, żywioł, który nie jest chaosem, anarchią, a uosabia twórczą siłę człowieka, chroniącą go od wyobcowania, od utraty godności, pozwalającą zachować oblicze niepowtarzalne i niepodobne do żadnego innego.

TADEUSZ MROZOWSKI
redaktor W. L.

PRZYPIS do „ZNAKU ZORRO”

Sprawy filmu w różnych aspektach są od dawna poruszane przez filmologów i publicystów na łamach „Odgłosów”, co świadczy o wzrastającej coraz bardziej roli społecznej filmu. Problem ten ma specyficzną wymowę w środowisku nauczycielskim. Stąd inicjatywa Zarządu Głównego ZNP i Ministerstwa Oświaty zorganizowania Seminarium Filmowego wspólnie z Federacją Klubów Dyskusyjnych w Warszawie w okresie letnim ub. roku dla nauczycieli, i na wniosek Łódzkiego Okręgu ZNP w czasie ferii zimowych 61/62 r., dla kierowników klubów nauczycielskich z terenu całej Polski. Seminarium te z natury rzeczy ograniczone do stosunkowo szczupłej grupy działaczy kulturalnych stanowiło niejako pierwszy etap działalności. Dalszy rozwój tej akcji winien być podjęty przez działaczy z tak zwanego terenu. Łódź jako pierwszy po Warszawie okręg ZNP rozwinięła te inicjatywę i zorganizowała pod patronatem Zakładu Wiedzy o Filmie Uniwersytetu Łódzkiego 9-dniowe zajęcia seminaryjne dla nauczycieli. Program, który uwzględnił historię filmu, rodzaje filmów, problematykę filmu w szkole oraz zagadnienia filmu współczesnego, opracował prof. B. Lewicki. Wybrane filmy oraz salę kinową „Filmosy” użyczył nam bezinteresownie dyrektor Nowakowski. Zajęcia uzupełniane odpowiednimi filmami, poza dr. J. Koblewską-Wróblewą z Warszawy prowadzą pracownicy nauki Zakładu Wiedzy o Filmie. Seminarium rozpoczęte 28 marca będzie trwało do 17 kwietnia br.

Udział w seminarium jest całkowicie dobrowolny. Znamy brak czasu wśród nauczycieli nasuwał obawy, że niewiele osób będzie mogło wygospodarować do czterech godzin dziennie (od godz. 18 do 21,30) ze swojego budżetu czasu.

Dlatego miłym zaskoczeniem była ilość 102 koleżanek i kolegów ze wszystkich typów szkół i rodzajów specjalności, którzy zgłosili swój udział w seminarium. Świadczy to nie tylko o potrzebie tej akcji, ale wskazuje również na fakt, że nauczyciele chętnie rezygnują z części swojego wolnego czasu na rzecz pogłębiania swoich wiadomości.

Ciekawą rzeczą może będzie podanie zestawienia uczestników według rodzajów szkół. Wygląda ono następująco: ze szkół podstawowych — 63 osoby, liceów ogólnokształcących — 19 osób, ze szkół zawodowych — 17 osób i ze szkół specjalnych — 3 osoby.

Największą ilościowo grupę stanowią polonisci (25%), a dalej fizycy i historycy (10%). Reszta uczestników reprezentuje pozostałe specjalności przedmiotowe. Obecnie po odbyciu do dnia 5 kwietnia br. pięciu zajęć oraz wysłuchaniu wielu głosów słuchaczy można ocenić tę akcję jako bardzo potrzebną.

Jak będzie wyglądała dalsza działalność w tym kierunku? Być może realnych kształtów nabierze wysunięta przez mgr E. Nurczyńską w „Odgłosach” z 18 marca (artykuł „Szkoła, młodzież i film”) koncepcja stworzenia przy udziale Zakładu Wiedzy o Filmie Ośrodka Metodycznego do pracy z filmem w szkole. Działacze kulturalni ZNP pragnęliby widzieć również słuchaczy seminarium w DKF przy Zarządzie Okręgu czy Klubie Nauczycielskim. Plany te powinny być realniejsze po przegospodarowaniu akcji seminaryjnej, która większą ilość osób może zapalić do filmu.

WITOLD CZERLICA

*) W związku z artykułem E. Ostrowskiej „Co znaczy moda na znak Zorro” („Odgłosy” nr 13).

Hallo, Mary!
— You are a bit late. I have been waiting for you ten minutes.
— Excuse me for being late. I was writing about the sun, about the stars being thousand light years away from the earth, and... What do you know about the moon, Mary? Is there any life on the moon? Are there any animals, trees or grass there?
Mary did not answer.
— You can see the moon in the sky at night. It is like a bright face in the dark sky.



KEINE ANTWORT IST AUCH EINE ANTWORT

Ein 8-jähriger Junge wollte etwas Geld haben, aber er wollte seine Mutter nicht darum bitten. Er schrieb eine Rechnung.
Beim Mittagessen lag neben dem Teller der Mutter ein Stück Papier. Auf dem Papier stand:

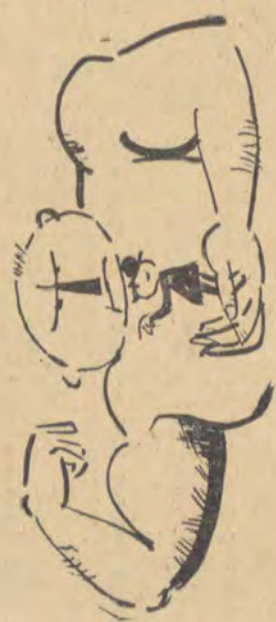
Rechnung für meine Mutter	
1. Beim Bäcker ein Brot geholt	10 Pf
2. Dem Vater die Zeitung gebracht	5 Pf
3. Einen Brief zur Post getragen	10 Pf
4. Weil ich ein braver Junge bin	20 Pf
zusammen	45 Pf

Die Mutter las die Rechnung und sagte kein Wort. Am Abend lagen 45 Pfennig neben Peters Teller und eine Rechnung für Peter:

Rechnung für Peter	
1. Acht Jahre Pflege	nichts
2. Dazu Nahrung und Kleidung	nichts
3. Besondere Pflege bei der Krankheit	nichts
4. Weil Peter eine gute Mutter hat	nichts
zusammen	0 Pf

Peter las die Rechnung und wurde rot. Dann ging er zur Mutter, sagte kein Wort, küsste sie und legte das Geld auf den Küchentisch.

very small, and you are very big. You were not in that jar.
— Yes, I was in that jar, — answered the giant.
I laughed:
— You say that you were in the jar. You were not in the jar.
The giant cried:
— I was in it!
I cried:
— You were not!
Then the giant cried:
— I was! Look at me!
Suddenly he grew small again, and jumped back into the jar.
I quickly shut the jar.
The giant cried:
— Open the jar!
I said:
— No, I can't open the jar, you will kill me. You are not a good giant.
I put the jar back in the river and I went home.



Ursel und Heinz blieben auf dem Balkon. Ursel schaute sich die Blumen an:
— Die Blumen sind sehr schön und sie riechen auch so schön.
— Ja, es ist ein sehr schönes Plätzchen, — sagte Heinz.
— Die Bäume auf der Strasse, die Blumenkästen auf den Balkons, da sitzt man mitten in der Stadt im Grünen.
— Aber wo kann nur Ise sein? — fragte ich.
In diesem Moment hörten wir die Klingel. Ursel ging die Tür öffnen. Lustige Stimmen hörten wir im Vorzimmer. Ise kam ins Wohnzimmer:
— Verzeiht mir, dass ich so spät gekommen bin, — sagte Ise zu uns. — Aber ich hatte so viel Arbeit und konnte nicht früher kommen. Seid bitte nicht böse.
Natürlich konnten wir nicht lange böse sein. Ise ist so klug und schön, dass man nicht lange böse sein kann.
Wir setzten uns an den Tisch und waren sehr froh. Dann spielten wir Bridge bis spät in die Nacht.



TADEUSZ PAPIE

MAGDALENA



Siedemnastoletnia dziewczyna, Magda, dostaje się w krąg wpływów grupki „złotej młodzieży”. Za namową Boruty Magda opuszcza rodziców. Następuje seria „występów” Magdy i jej kolegów. W czasie ostatniej wyprawy Długiego — Magda i Krycha złożyły przysięgę na wierność grupie.

Wróciłem do samochodu. Długi zapuścił motor i wyjechaliśmy na szosę. Wkrótce powrócił dawny nastrój. Narcyz żartował i kleił się do mnie. Śmiałem się głośno. Wyglądałem, żeby Boruta okazał jakiegokolwiek zainteresowanie, ale na próżno. Boruta nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi. To mnie drażniło. „Aleś zuchwały!” — krzyknęłam do Narcyza, kiedy jego ręce poczułam gdzieś pod bluzką. Uderzyłam go po łapach. Narcyz wybuchnął nieśamowitym śmiechem. Ryczał jak szalony. „Nie, Boruta, musisz dobić targu. Magda musi być moja”. „A Krycha?” — zapytałam. „Phil — krzyknęła Krycha. — Narcyz mi się znudził. Jak chcesz, to sobie

gō weź”. „Dziękuję, bez łaski” — odparłam. W pewnej chwili poczułam, że mnie coś ukuło. Krzyknęłam, a Narcyz powiedział: „Weź to, Magda, na zadatek. Uważaj się za narzeczoną. Masz, w prezencie. No, weź!” Poczułam w ręku ostre krawędzie broszki. „Dziękuję — odparłam i przytrzymałam sobie broszkę na bluzce. — To ładnie z twojej strony — rzekłam. — Ale musisz się bardziej wysilić, jeśli chcesz mnie zdobyć”. „Tylko bez lipy!” — powiedział Narcyz — Okazuje się, że potrafisz człowiekowi napsuć krwi. Ja ci ofiaruję prezenty, a ty cor Moze gwiazdkę z nieba?” „Ona by wyszła za Gagarina” — odezwał się Boruta. „A pewnie!” — odparłam. Boruta wyciągnął rękę i dał mi, niby z żartów, porządny przytyczka w ucho. Zapięło jak diabeł.

Krycha była w humorze. Nie ją nie obchodziły nasze zagrywki. Siadała na kolanach do Borucie to Narcyzowi. Budowała się doskonale. „Ach cudownie, fenomenalnie. Teraz do piero żyje” — pisała. „Wodzu, nasz ty wodzu” — zaczęła śpiewać. Głos miała

cienutki, piskliwy. Głupia fladra. Za nic w świecie nie zamieniłabym jej na Mariolę. Mariola to prawdziwa koleżanka. Nie mam lepszej koleżanki na świecie nad Mariolę. Gdybym miała powtarzać życie od początku, na towarzyszkę wybrałabym tylko Mariolę. Mariola to cudot! Zateknęłam do niej. Żeby tu był Długi pozornie nie interesował się naszą rozmową. Prowadził wóz ostro, zakręty brał śmiało, lekko uchylona szyba grała na wietrze, jak struna skrzypiec. W pewnej chwili, dojeżdżaliśmy właśnie do jakiegoś wsi, nakazał ciszę. Przygasił światła, skreślił na ekran szosy i zatrzymał wóz. „No, chłopaki!” — zwrócił się do Narcyza i Boruty — „Zabawcie się w lisy, tylko ostrożnie”. „Co takiego? W co mają się zabawić?” — odezwałam się. „Zamknij się!” — szepnął Boruta wysiadając. Zostałyśmy z Krychą w samochodzie. Długi też wysiadł, ale wziął z sobą korbkę i udawał, że coś majstruje przy motorze. To na wypadek, gdyby ktoś zainteresował się naszym wozem. Rozmawialiśmy z Krychą przyciszonym

głosem. „A to heca! — mówiła Krycha. — Diabelnie bylam ciekawa tej przysięgi. Wiesz, Długi nas spotkał w mieście, oberwało się przy tym Narcyzowi i Borucie za Albina, i zapytał się, czy nie przystąpię do was. Dlaczego nie? — odparłam. Wtedy powiedział, że trzeba złożyć przysięgę, że i ty też tam będziesz. Niby, że teraz tworzymy grupę i wszystkim się dzielimy”. „Aby tylko sprawiedliwie” — mruknęłam. „No, ja już się nie dam nikomu okantować. Narcyz chciał wyciągnąć ode mnie wszystkim forszę, ale dałam mu po głbie i koniec z nim. Boruta ciekawski. Nie masz przeciwko temu, żebym uwodziła Borutę?” „Z panem Bogiem” — odparłam, chociaż serce mi się ścisnęło żalem. „Boruta, wiesz — pytowała w dalszym ciągu Krycha — powiedział, że jesteś o niego strasznie zazdrosna. Ona, powiada Boruta, uwielbia mnie do szaleństwa. Wszystko dla mnie zrobi. Ciekawa jestem, naprawdę tak się w nim zadurzyła?” — Bezczelny typ z tej Krychy. Jak Boga kocham, wytrząskalbym ją teraz po pysku, żeby ją rodzona matka nie poznała. Zła byłam na nią jak wszyscy diabli. „Kochaj się z nim, ile chcesz!” — odpowiedziałam. Widocznie wyczuła w moim głosie fałszywe tony, gdyż odparła słodutko: „Zebys tylko na mnie potem nie napadła. Ant nie próbowała oczu wydrapywać. Sama tego chciała”. „A tak, tak” — rzekłam. Ale co naprawdę działo na moje nerwy, to jej beczelność. Człowiek może zmienić swoją sympatię — i tak bywa, ale żeby przy tym okazywać swą wyższość, to już za wiele.

W tym momencie od strony wsi rozległy się wrzaski, szczeranie psów. Długi natychmiast usiadł przy kierownicy i za-

puścił motor. Szosą biegli Boruta i Narcyz i opędzali się przed psami. Długi ruszył wozem, chłopaki wskoczyli do środka i za chwilę minęliśmy wiesz. „Co wyście najlepszego narobili!” — krzyknął do nich Długi. „Cholera z tymi chłami!” — krzyknął Narcyz. — Dobraliśmy się już do stajni, już czułem zapach rosołu i pieczonej kury, gdy gęsi narobiły wrzasku, chłop wyskoczył z domu, puścił psy. Żeby go jasny piorun trafił! Spodnie rozerwałem na płocie!” „Już był w ogródku, już witał się z gaską” — zaśmiała się Krycha. „Kto u Pana Boga, wymyślił psy!” — pieknit się Narcyz. „Ten sam, kto wymyślił durniów i głupców” — odparł znad kierownicy Długi. „Gęsi obroniły Rzym — zaśmiała się w dalszym ciągu Krycha. — Nie słyszeście o tym? Prawdziwa historia”. „Nie wylupiaj się!” — przerwał jej Boruta. „Nie zaszkodzi, jeśli przy okazji lykiesz trochę wiedzy. Trzeba się dokształcać. Nawet gęsi są od ciebie mądrzejsze” — pouczała go Krycha. „Co teraz robimy? Nie myślę wracać z pustymi rękami” — rzekł Długi. — Nie po to wybrałiśmy się w drogę, żeby nie nie skubnąć. Nie wrócę z pustym wozem”. Ale Długi pytał tylko dla hecy. Miał swój plan, te gęsi czy kury, to obmyślił po drodze. Popędziłyśmy dalej. Przez Łęczycę przejechaliśmy statecznie. Długi uważał, żeby nie narazić się na spotkanie z milicją, ale drogę Łęczycy-Piątek, chociaż nie była najlepsza, pokonałiśmy piorunem. „Z Piątku skręcimy na Zgierz. Po drodze jest parę ładnych kiosków” — wyznał w końcu.

„Fajno jest!” — zapiszczała Krycha — To mi fantazja. Ty, Długi, jesteś wolny? Może bym ciebie wybrała? Byłabym

waszą panią naczelnikową! Trzymajcie mnie, bo się jeszcze zdecyduje”. „Kto, u Pana Boga, mógłby nie pragnąć tego? Przyjdź, dziecińo, jutro wieczorem, pogadamy” — odparł grzecznym tonem Długi. „Zastanów się” — odparła Krycha. Nie odwracałam się, ale w lusterku, które wisiało nad kierownicą, odbiła się twarz Krychy. Przyglądałam się chwilę temu niewyraźnemu odbiciu. Krycha przytulała się do Boruty i jednocześnie flirtowała z Długim. Dziwka.

Za Piątkiem droga się popsuła. Kawalek wyboistej drogi wreszcie się skończył, przejechaliśmy jakąś wieś i Długi zatrzymał samochód. „Co tu jest ciekawego?” — zapytał Narcyz. „Kiosk” — rzekł Długi. Wysiedliśmy wszyscy. Mnie i Krysze dano dwa duże wory, które Długi wydobął z bagażnika. Chłopaki zaopatrzyli się w żelazne drągi i jakieś inne narzędzia. Diabeł by nie spaścił, jak się to nazywało. Oni to żelazstwo jakoś po swojemu nazywali. Wyprawa była przygotowana na medal. Ja już teraz poznałam metodę Długiego, proszę pana. Wszystko obmyślał sam, nikomu nie mówił. W ten sposób był pewny, że w drodze nie spotka go żadna niespodzianka. A nużyby który z chłopaków upił się i gdzie co wygadał? Wokoło panowała cisza, księżyc wprawdzie wznosił się na wysokość topoli, ale na niebo

Dalszy ciąg na str. 10

odgłosu str. 9

We went to a large park and we sat down on a bench. When we look at the moon, we can see some bright parts and some dark parts. This is because there are mountains on the moon.

— Yes, — said Mary. — There is no water on the moon, and there are no clouds there. There is no air round the moon. So there are no trees and no grass there. There are no animals, no birds, and no people there.

— Yes, no animals, no birds, no people, — said Mary. — There is no life on the moon because there is no air and no water there.

— Yes, no water, — said Mary. — On the earth day and night last twenty-four hours. On the moon day and night last a month. Day lasts two weeks, and night lasts two weeks. When it is day on one side of the moon, it is night on the other side. The days on the moon are very hot, and the nights are very cold. What do you know about the moon now, Mary?

Mary did not answer. Mary was sleeping.



KEIN GUTES REZEPT

Ein Dichter war sehr krank. Er fühlte sich sehr schlecht und deshalb ging er zu einem Arzt. Der Arzt untersuchte den Dichter genau und sagte zu dem Patienten:

— Sie dürfen nicht mehr rauchen, Sie dürfen auch nicht mehr trinken. Nikotin und Alkohol schadet Ihnen.

— Was sagen Sie, Herr Doktor? — fragte der Dichter erstaunt.

— Leider, Sie dürfen nicht rauchen und nicht trinken.

Der Dichter nahm seinen Hut, zog schnell den Mantel an und ging. Er sagte kein Wort.

Der Arzt rief:

— Und mein Honorar für den Ratschlag?

— Ich nehme den Ratschlag nicht an, — antwortete der Dichter und ging schnell auf die Strasse hinaus.



THE GIANT IN THE JAR

One day I went along a river. Suddenly I saw a jar in the water.

The jar was yellow like gold. It was very pretty. I took it out of the water and looked at it. Then I said:

— What is there in this jar? I'll open it.

So I opened the jar, and a little man jumped out of it. He was very, very small.



Then the little man grew and grew and grew. Soon he was a giant. I said:

— What? A giant in a jar? Well, old chap, give me some money, give me some gold!

But the giant said:

— I have no money and no gold! I'll kill you!

— That is very bad, — I said. — You are not a good giant.

— Nothing can help you, — said the giant. — I'll kill you at once!

— Giant, — I said, — were you in that jar? The jar is

EIN BESUCH

Ich stand am Fenster und schaute auf die Strasse. Ich erwartete Gäste. Aber es war schon vier Uhr und niemand kam. Der Tisch war schon gedeckt. Er sah sehr schön aus mit einem grossen Blumenstrauß in der Mitte.

Aber wo sind die Gäste? Ich ging ins Vorzimmer und schaute das Telefon an:

— Soll ich Ihre anrufen?

Da klingelte es. Es waren Ursel und Heinz. Ich begrüßte sie herzlich:

— Ich freue mich sehr, dass ihr da seid.

— Wir haben dich nicht vergessen, — sagte Heinz.

Ich führte die Gäste ins Wohnzimmer:

— Ach, wie gemütlich, — sagte Ursel. — Du hast ein schönes Wohnzimmer. Besonders die Leseecke da, mit der Stehlampe, dem Lehnstuhl und dem Radioapparat.

— Und wo ist das Badezimmer? — fragte Heinz.

— Vom Schlafzimmer führt eine Tür ins Badezimmer.

— Das ist besonders im Winter sehr bequem, — sagte Ursel.

— Ja, es ist ein sehr schönes Plätzchen, — sagte Heinz. Wir suchten jetzt eine Dreizeimmerwohnung für uns.

— Gehen wir jetzt auf den Balkon. Dort wollen wir auf Ilse warten, — sagte ich.

— Gut, wir sind einverstanden, — antwortete Ursel. — Gehen wir auf den Balkon.

— Entschuldigt mich, — sagte ich. — Ich muss in der Küche nachsehen, ob das Kaffeewasser kocht.

Dalszy ciąg ze str. 9

zaszły chmury. Było na tyle widno, żeby móc dobrze pracować i na tyle ciemno, żeby się ukryć. „Wspaniała heca!” — mruknęła Krycha do Boruty. Kiosk stał jakies dwa dziesiątki kroków od samochodu. Był to budynek podobny do kiosków gazetowych „Ruchu”, ale większy. Okienko było pozamykane na kłódki.

„Jak my się tam dostaniemy?” — zapytałam. „Nie udawaj frajerki! Dostaniemy się. Byleby w środku coś było”. Narcyz przytknął twarz do deski i poczuł węższy jak pies. „O, na pewno znajdziemy dużo dobrych rzeczy”. Narcyz był znowu w dobrym humorze. Boruta i Długi obeszli kiosk dokola. Obmacywali go dokładnie jak lekarz chorego. „No, mamy cię, staruszkul!” — szepnął Długi. Obydwaj z Borutą podważyli deskę, która była najbliższej kłódki. Dał się słyszeć cichy trzask. Narcyz podłożył w szparę splaszczone żelazo. Znowu chwilę się mocowali. Narcyz przesunął żelazo coraz głębiej. Nie do wiary, jak oni to robili! Gwoździe wychodziły kolejno jak po masle. Cała robota trwała z pięć minut. Półem poszło wszystko jeszcze głębiej. Boruta wsunął do środka rękę uzbrojoną w szczypcę i znowu coś tam majstrował. Długi tymczasem delikatnie podważał żelazną

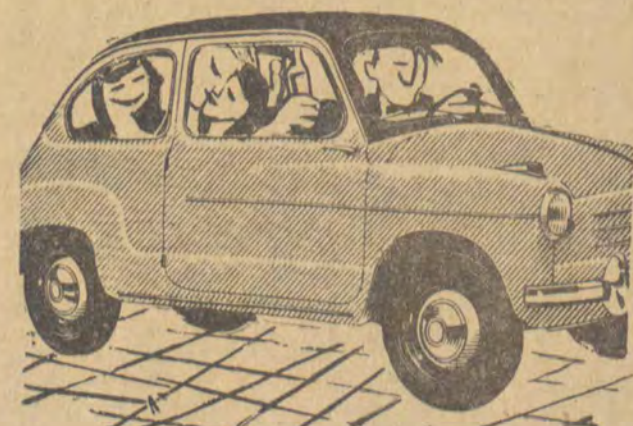
szalowa podróż!” — wyszepiała Krycha. Długi pędził, aż gwizdało. Mielismy cholerne szczęście. Objechać taki kawał świata i żeby nikt nas nie zaczepił. Mielismy wprawdzie kilka patroli milicyjnych, ale Długi miał żelazne nerwy. Wiedział jak jechać, żeby go nie zaczepili. Wiedział, kiedy udawać statecznego emeryta, a kiedy sobie pozwolić. Nie potrzebując chyba dodawać, że w końcu i ja się rozkrocham. Przesłałam nad sobą panować i śmiałam się bez potrzeby. Narcyz był w siódmym niebie. Dojechalismy szczęśliwie do Łodzi i Długi wyrzucił nas na Zgierńską. Zabrał ze sobą tylko Narcyza, zaś ja, Krycha i Boruta poczekaliśmy chwilę na nocny tramwaj i przyjechalismy do Zachodniej. Wyśedlismy przy Kościuszki. Kry-



cha uczepiła się ramienia Boruty i zapytała: „Dokąd pojedziesz, Magda? Może z nami?” Boruta przyskonił jej dłoń u ust. „Ja zabiorę Krychę, — powiedział do mnie — a ty idź do Marioli”. „Zgoda” — odparłam. Nie miałam innego wyjścia. Zresztą, za nic w świecie nie poszłabym teraz do Boruty. Poszłam więc do Marioli na Limanowskiego. Mariola jeszcze nie spała. Naparzyła świeżej herbaty, zaścieliła stół obrusem, rozłożyła talerzyki, widelce. „Cóż to za święto?” — zapytałam zdziwiona. „Witam cię w naszym bratnim związku” — odparła. „Wiem, żeś składała przysięgę”. „To jeszcze nie powód, abys się tak wysadzała. Owszem, chętnie zasiądem do stołu, daj coś na zęba, ale nie rób przedstawienia”. „Bardzo jestem zadowolona, żeś przyszła do mnie, Magda”. „Nie nie szkodzi, daj co masz, jestem głodna jak pies”. „Przejechałaś się po kole?” „Zadawała pytania takim tonem, jakby chciała zrobić ze mnie balona. Te przesadne drwiące słowa, bo przecież wiedziałam, że nie chciała mi naprawdę dokuczyć, zastanowiły mnie. „Cóż ci to, Mariola? Nie masz za wesołej miny. Stało się coś?” „Jedźmy. Potem ci opowiem”. Zerwałam się na równe nogi. „Nie, Mariola, jeśli masz co na sumieniu, to rób prosto z mostu. Ja nie będę jadła”. I zdecydowanym ruchem odsunęłam na bok szklankę z herbatą. „Ależ, Magda” — rzekła łagodnie Mariola. „Jednak najpierw spożyjmy dary boże, jak mówi Tato. Mam przed sobą całą noc na rozmowy”. Usłuchałam, ale po zaspokojeniu pierwszego głodu powróciłam do przerwanej rozmowy. „Teraz, Mariola, po-

wiedz, co znaczą twoje słowa. Tylko bez niepotrzebnych gadulstwa, bo jestem ciekawa”. „Z chęcią zrzucę ten ciężar z duszy — uśmiechnęła się Mariola. — Chcę cię tylko uprzedzić, żebyś się nie denerwowała”. „Mów!” — odparłam. „Więc matka cię szuka”. „O, to nic wielkiego! — powiedziałam z ulgą. — No i cóż? Niech szuka. Zatekniła za mną, czy też może ojciec nie może żyć beze mnie? Czyżby tak szybko zmienił zdanie? Przekonał się, że nie jestem ładaczką?” „Właśnie — wtrąciła Mariola. — Zda się, że obydwoje zmienili zdanie”. „Na jakiej podstawie to mówisz?” „Na podstawie słów matki”. „Więc widziałaś się z nią? Rozmawiałaś?” Mariola wpatrywała się we mnie badawczo. Mariola miała szarozielonkawę oczy, nie za duże, ale w ładnej oprawie i bardzo wyraziste. Wszystko można było z nich wyczytać. Zrozumiałam, że sprawa wygląda tym razem poważnie. „I cóż dalej, Mariola? Gdzie spotkałaś matkę? Co ci mówiła?” „W Egzotycznej”. „Co, w „Egzotycznej?” — zdziwiłam się szczerze —

„Cóż ona tam porabiała?” „Matka chodzi po wszystkich kawiarniach i szuka swojej zguby. Dzisiaj byłam u Taty, urządził się po aresztowaniu Pumi i musiałam go leczyć. U Taty spędziłam dwie okropne godziny. Wstałam potem do „Egzotycznej” na kawę. Szczerz mi zaprosiła”. „Same niespodzianki! Przyjechałaś zaproszenie Szczura?” Mariola wzruszyła ramionami. „Musiałam to zrobić. Szczur zna pewne szczegóły o Pumie, które interesują Tatę. Obiecał mi je wyjaśnić”. „Ach, tak. Więc coś dalej?” „I w Egzotycznej spotkałam swoją matkę. Początkowo nie poznała mnie, ale potem podeszła. Mówię ci, strasznie wygląda. Jakby była wdową”. „Nie wzruszaj mnie tymi obrazkami. Bajki zostaw dzieciom”. „Nie, Magda, czekaj jeszcze, chcę ci o coś zapytać. Mówisz, że to są bajki, ale czy nie uważasz, że to nie tylko bajki? Że to coś innego? Co powiesz? Po twoich oczach widzę, że się wahasz”. „Nie wygłupiaj się — odparłam — Zostaw te kawałki dla głodnych. Do domu nie wrócę. Żeby nie wiem co, nie wrócę”. D. C. N.



Teatr Popularny - dyskusji ciąg dalszy

Tak się złożyło, że nie-
zadługo po inaugurującym
działalność telewizyjnego
Teatru Popularnego spek-
taklu „Ojca Goriot”, odby-
ła się w Łodzi sesja wyjazdowa Klubu Krytyki Tea-
tralnej, w czasie której
poczęto również — margi-
nesowo co prawda — mó-
wić o sprawach telewizyj-
nych.

Polemikę rozpoczął Ro-
man Szydłowski, przypo-
minając, iż w czasie dysku-
sji na łamach „Radia i te-
lewizji”, wszyscy zabiera-
jący głos publicyści posu-
lowali wręcz odmienny
profil repertuarowy Teatru

Popularnego, aniżeli pro-
fil proponowany, a czę-
ściowo już i realizowany
przez ośrodek łódzki. Oczy-
wiście jest prawem twór-
ców odrzucać postulaty
krytyki — mówił Szydłow-
ski — ale z drugiej strony
będzie chyba prawem kry-
tyki trwać konsekwentnie
na swoich stanowiskach i
kwestionować koncepcje
realizatorów.

Odpowiadając na ostro-
chyba sformułowane za-
rzuty — dyrektor LOT
Władysław Orłowski, za-
strzegł się przede wszyst-
kim, że przynajmniej pier-
wsze spektakle Teatru Po-

popularnego trzeba traktować
jako propozycje, jako prak-
tyczną kontynuację teore-
tycznie rozpoczętej dysku-
sji; dodał zarazem, że pla-
nując spektakle Teatru Po-
popularnego na 60—90 minut,
trudno w nich zawrzeć trzy
godzinne widowisko tea-
tralne.

Kolejny dyskutanci po-
wrócili do spraw czysto
teatralnych, które nie będą
już nas — przynajmniej na
tym miejscu — intereso-
wać; niemniej punkty wi-
dzenia naszkicowane jakoś
przez obu oponentów, wy-
dają się być godne przy-
najmniej rozważenia.

Ogólne założenia Teatru Popularnego TV
są chyba najzupełniej jednoznaczne —
ma to być teatr przeznaczony dla naj-
szerszych kręgów widzów, teatr zapozna-
jący ich z klasycznymi pozycjami literatury
i dramatu, teatr bardzo komunikatywny i czy-
telny.

Tu jednak drogi się rozchodzą i można
chyba bez większego trudu wyodrębnić dwa
przeciwnie stojące stanowiska.

A. Teatr Popularny TV ma być — jak sa-
ma nazwa wskazuje — popularnym wido-
wiskiem teatralnym, winien więc opie-
rać się przede wszystkim, jeżeli nie wyłącznie,
na utworach dramatycznych z bogatego prze-
cięź dorobku światowego. Utwory te mogą,
rzecz jasna, podlegać pewnym zabiegom adap-
tacyjnym, a nawet powinny być przystoso-
wywane do telewizyjnej formy przekazu (co
za tym idzie w ramach Teatru Popularnego
TV nie będziemy transmitować nawet znako-
mitych spektakli teatralnych), niemniej powin-
ny być to pozycje już w zamyśle autorskim
przeznaczone na scenę.

Jest rzeczą do dyskusji, czy wszyscy auto-
rzy dramatyczni jednako dobrze dadzą się
przekształcić do małego ekranu (niejednokrotnie
padały głosy, że teatr romantyczny, czy —
przypuśćmy — Szekspir, w zasadzie są zubo-
żani przez inscenizację telewizyjną) w każ-
dym bądź razie spektakle Teatru Popularnego
winny zapoznać widza z teatrem i bu-
dzić w nim głód teatru.

B. Teatr Popularny TV powinien być raczej
samoistną formą wypowiedzi artystycznej.
Tworzywo powieściowe łatwiej da się prze-
organizować pod kątem potrzeb telewizyjnych,
łatwiejszy jest tu proces selekcji materiału,
łatwiejsze przykrojenie widowskiego pod kątem
określonego wycinka czasowego.

Wolny od tradycji teatralnej, nie obawia-
jący się konfrontacji ze spektaklami „żywego
planu”, twórca telewizyjny ma stosunkowo
większe szanse stworzenia widowskiego pełno-
wartościowego artystycznie, a jednocześnie
zapoznajającego przeciętnego widza z wielkimi dzie-
łami literackimi.

Dalszy ciąg sporu przedstawimy przy po-
mocy wyimaginowanego dialogu.

A. Czy w takim razie Teatr Popularny nie
zacznie dublować Teatru Telewizji,
który również rozkochany jest w adaptacjach,

choćby w adaptacjach słuchowisk radio-
wych? Albo z Estradą Literacką?

B. Raczej nie. Estrada Literacka specjali-
zuje się w widowiskach bardzo kameralnych,
natomiast Teatr Telewizji wybiera pozycje do
adaptacji pod zupełnie innym kątem widzenia.
Nigdy na przykład nie wzięłyby na warsztat
„Ojca Goriot”.

A. Skoro padł już ten przykład — „Ojciec
Goriot” został zrealizowany technikalnie
filmową, tyle że bez plenerów. Czy nie pro-
ściej więc byłoby wyświetlić na małym ekranie
sam film, opatrzonego również wstępnym
komentarzem?

B. No, nie przesadzajmy. Wiemy, jak wiele
tracą filmy na małym ekranie, wiemy rów-
nież, że świadomość równoczesnej akcji w
studio i równoczesnego odbioru, sprzyja psy-
chicznej koncentracji widza.

A. Oczywiście. Ale widz po obejrzeniu „Ojca
Goriot” będzie miał jednak wrażenie pewnego
niedosytu i w najlepszym wypadku popędzi do
biblioteki, żeby pożyczyć książkę.

B. To chyba dobrze.

A. Zapewne. Niemniej telewizory rzadko
chcą znajdować się w posiadaniu analfabetów,
a wiemy doskonale, że przeciętny czytelnik
łatwiej połknie całego Balzaca, niż jedną te-
dyńską komedię Arystofanesa, czy chociażby
sztukę Złotowskiej. Lektura utworów drama-
tycznych jest lekturą nader trudną.

B. Co nie przeszkadza, że w interesie widza
jest raczej obejrzenie pełnowartościowego wi-
dowskiego adaptowanego niż niepełnego arty-
stycznie przeniesienia choćby najwybitniejszej
sztuki teatralnej.

A. Ale za ostatnim sformulowaniem kryje
się po prostu niewiara w możliwość przekła-
dania utworów dramatycznych środkami tele-
wizyjnymi. Przecież praktyka temu przeczy!

B. Ale zarazem praktyka mówi nam, że
największymi osiągnięciami Teatru Telewizji
były jednak adaptacje.

A. Co za tym idzie — Teatr Popularny bez
teatru.

B. Nie stawiamy tego tak dramatycznie.
Jeżeli nawet początkowo Teatr Popularny
opierał się przede wszystkim na adap-
tacjach, to przecież nie będzie opierać się na
nich wyłącznie. Zresztą czas pokaże jakimi
ewolucjom teatr ten zacznie podlegać —
wszystko jest przecież sprawą do dyskusji.

Dyskusja trwa!

JERZY PANASEWICZ



Isabelle Aubert

Po raz trzeci od chwili
utworzenia w roku 1956
przez „Eurowizję” „Grand
Prix” dla piosenki w kon-
kursie tym zwyciężyła Fran-
cja. Tym razem piosenkę
francuską reprezentowała
Isabelle Aubert, która śpie-
wała „Premier Amour”.
Claude Véc do słów Rolanda
Valade.

Telewizja w służbie filmu

Do Wytwórni Filmów Fa-
bularnych przy ul. Łąkowej
wprowadzono urządzenia
telewizji przemysłowej, któ-
re ułatwiają pracę operato-
rom dźwięku. Kabiny opera-
torów dźwięku umieszczone
są zazwyczaj z dala od hal
zdjęciowych toteż operatorzy
działają niejako po ciemku.
Teraz kamera telewizyjna
umieszczona ponad planem
zdjęciowym w hali przekazu-
je do kabiny operatora obraz,
który odbierany jest na du-
żym ekranie 21-calowym.
Operator widzi w ten sposób
jak rozmieszczone są mikro-
fony i kieruje odpowiednio
pracą technika dźwięku na
planie zdjęciowym.

PROGRAM na najbliższe dni

CZWARTEK — 12. IV. 62 R.

10.00 Program dla szkół: (dla kl.
V—VII). Język polski. Z ryki:
„O miejsce wśród ludzi”. Temat:
„Słowa dzwoniąca” (W). 10.30 Prze-
rwa. 17.00 Program dnia (L. lok.).
17.05 Program dla dzieci starszych:
„Śmieję się z siebie” (W). 17.35
„Na półkach księgarskich” (W).
17.45 PKF (W). 17.55 „Nie tylko dla
pań” — magazyn (W). 18.30 Kon-
cert laureatów konkursu piosenek.
Transmisja z sali Teatru Buffe
(W). 19.30 Dziennik telewizyjny
(W). 20.00 „Fakty i poglądy” —
progr. spód red. Tadeusza Koliń-
skiego (W). 20.30 Koncert estrado-
wy (W). 21.30 Ostatnie wiadomo-
ści (W).

PIĄTEK — 13. IV. 62 R.

16.55 Program dnia i tygodnia
(L. lok.). 17.10 Program tygodnia
(W). 17.30 „Spojrzenia i opinie”
(L. lok.). 18.00 „Szarża na sutereny”
— program publicystyczny
(Poznań). 18.25 „Mój koś” — film
seryjny prod. angielskiej (W). 18.55
Wschodnia TV: „Jak donosi Pol-
ska Agencja Prasowa” — pro-
gram z cyklu: „Świat się kurczy”
(W). 19.30 Dziennik telewizyjny
(W). 20.00 „Kowal, pieniadze i
gwiazdy” — Jerzego Szaniawskie-
go. Reżyseria Marian Szczerbiński.
Transmisja z przedstawienia z Te-
atru Słowackiego w Krakowie
(Kraków). Ok. 22.00 Ostatnie wia-
domości (W).

SOBOTA — 14. IV. 62 R.

10.00 Program dla szkół: (dla kl.
VI). Biologia. Cykl: „W świecie
zwierząt”. Temat: „Skrzydlate
królestwo” (W). 10.30 Prze-
rwa. 17.15 Program dnia (L. lok.). 17.20
„Kwiat na śniegu” — film fao.
prod. radzieckiej dla dzieci (W).
18.35 Program dla dzieci: Teatrzyk
„Violonka” (W). 19.10 „Rondo” —
film krótkometrażowy amatorski
prod. polskiej (W). 19.30 Dziennik
telewizyjny (W). 20.05 „Paragraf
i fajka” — przed kamerą prof. dr
Jerzy Sawicki (W). 20.30 „Papiero-
sy, whisky i dziewczęta” — film
fab. prod. francuskiej (dow. od
lat 16) (W). 22.05 PKF (W). 22.15
Ostatnie wiadomości (W). 22.20
„A może tak” — program rozryw-
kowo-estradowy. Reżyseria Jerzy
Słowicki (W).



To o czym marzymy...

„Jeszcze trochę na to pocze-
kamy. Jedno z pism warszaw-
skich pisało w ramach kawałów
prima-apriliowych: „W najbliż-
szych miesiącach wszystkie wiek-
sze ośrodki regionalne otrzy-
mają własne wozy transmisyjne.
Ułatwi to realizowanie większej
liczby reportaży i transmisji
„na żywo” z teatrów, stadionów
i imprez na wolnym powietrzu”.

Dowcip jako dowcip — dość
miewesoły.

Bo wozy transmisyjne są ro-
związaniem. Np. w Łodzi nie moż-
na zrealizować wielu audycji
bez takiego urządzenia. A od-
niektóre spektakle teatralne aż
nie proszą o miejsce w progra-
mie TV. Cóż „Jeszcze poczekaj-
my...”

Jedno jest chyba pewne
— jakkolwiek nie oce-
niałbyśmy całokształtu
programów publicystycznych
TV, odbiorca nie może już
chyba w tej chwili narzekać
na ubóstwo form, zbyt małą
ilość wyodrębnionych tematy-
cznych cykli, czy niejasność ich
ogólnych założeń. Włączając
telewizor, wiemy dość dokład-
nie, czego możemy spodzie-
wać się po „Faktach i poglądach”,
czego po „Perspektywach”,
a czego — powiedzmy — po
„Rozmowach o programie dla
dzieci”.

W ostatnim okresie przybyła
nam zresztą jeszcze jedna au-
dycja z krainy publicystyki —
mianowicie „Miniatury”. Jak
sama nazwa wskazuje, ma to
być audycja poświęcona spra-
wom raczej drobnym, szcze-
gółowym i bardzo konkretnym;
jeden z programów zdo-
łał na przykład pomieścić
obrazek o zwalczaniu niele-
galnej sprzedaży alkoholu,

W krainie publicystyki

rozważania o podatku „ka-
walerskim”, rozpoczęte dra-
matycznie postawionym i efek-
townie sformułowanym pyta-
niem „Dlaczego państwo pro-
paguje świadome macierzyń-
stwo, a jednocześnie utrzymu-
je podatek od bezdzietności?”,
porady — jak pisać podania,
złoty komentarz na temat
wieloletnich sporów sąsiedzkich,
wreszcie dramatyczna opo-
wiesć o robotnikach ze Sta-
łowej Woli, których dotknęła
choroba zawodowa zwana
martwicą rąk.

Wszystkie te tematy, podję-
te zostały rzecz jasna, w for-
mie niesłychanie oszczędnej,
zwięzłej i dynamicznej —
można oczywiście dopatrywać
się w „Miniaturach” pewnych
usterek realizatorskich, ale
sama audycja powinna mieć
chyba, właśnie ze względu na

swoją skrótność, wcale ład-
ną przyszłość.

Gorzej sadziłbym o ostat-
nich „Peryskopach”. Transmi-
towany z Gliwic program wy-
jazdowy „Widzowie pytają —
Peryskop odpowiada”, poświę-
cony był interesującym chyba
wszystkich sprawom niemiec-
kim, skupił gotowych do od-
powiedzi na pytania, aż kilku
dziennikarzy, z Karolem Ma-
luczyńskim na czele, a jednak
— może właśnie dzięki na-
wałowi pytań — popadł w wie-
losłowie, rozwinął się i zo-
stał dość brutalnie i mecha-
nicznie przerywany z chwili,
gdy upłynął czas przeznaczony
na audycję.

Jeszcze gorzej wyglądała
rzecz w ubiegłym tygodniu
kiedy to urocza „deserowa”
gawęda Melchiora Wańkow-
icza została przerywana jak naj-

dokładniej w pół słowa, czy
raczej w pół zdania, ku wy-
rażnemu speszeniu prelegenta,
a także ku wściekłości roz-
smakowanych słuchaczy. Oczy-
wiście punktualność rozpoczę-
cia (i końca) audycji, program-
owa telewizyjna, to rzecz
niezwykle chwalebna, ale sta-
re powiedzenie, iż „mówienie
ma kolosalną przyszłość”, nie
przestało chyba obowiązywać.
A przecież w środę, 4 bm. po
Peryskopie czekały nas jedynie
wiersze Antoniego Słonimskie-
go realizowane przez Między-
zowe Studio Poetyckie i ostat-
nie wiadomości — można re-
dy było z powodzeniem za-
cząć obie te audycje z dwu,
czy trzyminutowym opóźne-
niem, a pozwolić za to skoń-
czyć Wańkowiczowi opowieść,
jak to było z tymi mrówkami.
Jest to, rzecz jasna, dro-

biaż denerwujący i gotów
jestem trzymać zakład o zgni-
cie jakko przeciw całej herba-
cie Chin, że telewizja dostan-
nie niejedną kwaśną list na
ten temat; a przecież tak la-
two można było owego przy-
krego zgrzytu uniknąć.

Cale szczęście, że zawsze
możemy pocieszać się niezau-
ważnym „Kinem krótkich
filmów” — audycją, która i
mieści się w czasie i
zachowuje precyzyjnie wywa-
żone proporcje między sło-
wem a obrazem, i nie nuży,
i wprowadza widzów w
problematykę sztuki filmowej.
Stanowczo trzeba zorganizo-
wać jakiś plebiscyt i wrę-
czyć red. Michałkowi jakąś
nagrodę — zasłużył na nią
najbardziej.

(cz.)

Piękne dziewczęta na łamy „Odgłosów“



Fot. A. Kobyliński

KORESPONDENCJA

REDAKCJA „ODGŁOSY“
ŁÓDŹ
ul. Piotrkowska 96

Uprzejmie proszę Redakcję „Odgłosy“ o poinformowanie mnie w sprawie nabycia przeze mnie wymienionych niżej książek:

- | | |
|---|---------|
| 1. Kandydaci na kochanków | zł 2,50 |
| 2. Pierwszy grzech — słodki kaprys księżny | „ 1,90 |
| 3. Pensjon Domu Schadzkiej Belle de jour | „ 3,00 |
| 4. Mniszki i kobiety — księga erotyczna | „ 5,00 |
| 5. Czy to grzech? Głód zmysłów — Rozkosze miłości | „ 3,50 |
| 6. Encyklopedia seksualna (życie płciowe Blocha) | „ 13,00 |
| 7. Idealna koc anka | „ 2,00 |
| 8. Fizyka miłości pielowej | „ 3,20 |
| na koszty przesyłki | „ 1,50 |
| Razem | „ 31,60 |

Jest to zestaw książek Anonima, w których nie czyni żadnych poprawek.

Otoż zestaw ten znalazłem kiedyś w „Odgłosach“ przy którym to pisało „literatura współczesna“ oraz adres „Księgopol“ D. 20 — Warszawa — ul. Karmelicka 15.

Pragnąc mieć ten zestaw napisałem pod w/wym. adres 1 list mój cofnął się z dopisem, że przy tej ulicy ta księgarnia się nie mieści i nikt nie wie, gdzie się ona znajduje.

Przeto proszę „Redakcję“ o poinformowanie mnie w tej sprawie i zawiadomienie mnie gdzie można taki zestaw dostać i pod jaki adres pisać, aby otrzymać. Bardzo proszę o przychylenie i dość szybkie załatwienie mojej prośby, za którą z góry dziękuję i nadesłanie odpowiedzi na adres: Łódź, ul. Obr. Stalingradu nr 81.

JAN MATCZAK

Od redakcji

Nie wyobraża pan sobie nawet jak nam przykro. Ale cóż zrobić, fragment przedwojennej brukowej reklamówki wydrukowaliśmy na zasadzie żartu. A niestawnej panicej „Księgopol“ przy ul. Karmelickiej w Warszawie naprawdę już dawno nie istnieje. Jak zresztą inne tego typu balamutne wydawnictwa. Niektórzy nawet — o zgrozo — twierdzą, że to bardzo dobrze. Panuje poza tym powszechne przekonanie, że „słodkie kaprysy księżnej“ i tym podobne brednie z lat dwudziestych nie interesują już dziś współczesnego czytelnika anno 1962. Okazuje się jednak, że przekonanie to nie jest tak całkowicie słuszne. Niestety.

LUDZIE MYŚLA

Są na świecie ludzie, którzy myślą o tym żeby nam się nie nudziło. Ludzie co zajmują się głównie wprowadzaniem tzw. zmian. Przyzwyczajasz się, na przykład, Czytelniczko, że zieloną pietruszkę kupujesz w tym sklepie, białe nieci w tym, a olejną farbę w tamtym. Pewnego dnia przychodzisz z koszykiem i chcesz nabyć pietruszkę. Albo nici. Albo farbę. Nic z tego! Są przecież ludzie, którzy dbają o urozmaicenie Twojego życia.

Pietruszka sprzedaje obecnie sklep o trzy przecznice dalej, nici zamieniły się z farbami, a tam gdzie była dotąd pietruszka — kupisz bez trudu telewizor na raty.

Oto kilka skromnych przykładów. Na rogu Piotrkowskiej i Tuwima był ongi PEDET. Dziś — wzorcowy sklep z butami, zaś PEDET przy Piotrkowskiej 62 po remoncie zamieniono w Dom Dziecka. Przy Piotrkowskiej 84 jeszcze nie tak dawno sprzedawano futra. Dziś nabędziesz tam męskie koszule. Piotrkowska 81 — ongi klipsy, guziki, bransoletki szluzne kwiatki. W parę miesięcy później — papeteria, ołówki, zeszyty, obecnie — ziola. Piotrkowska 46 — spożywczy sklep samoobsługowy. Po długotrwałym remoncie zdmienił kłienel miast chleba, masła i jajek mogą kupować tam franki oraz dywany.

Jaki jest cel takiej zabawy w komórki do wynajęcia? Chyba taki tylko, żeby nam się nie nudziło. Bo w efekcie sklepów z butami posiadamy na odcinku od Zamenhofa do Jaraacza aż siedem, a np. sklepów z żywnością jest coraz mniej. Zaś PEDETY zlikwidowano w ogóle.

Ludzie myśla!

PORADZIĆ — PORADNIOM

Najpierw była tylko jedna — na Bałutach. Po tej prekursorkę pojawiły się ostatnio w Łodzi dwie dalsze poradnie społeczno-wychowawcze, a mają powstać podobno, jeszcze dwie.

To bardzo dobrze i bardzo źle. Dobrze, że w ogóle są, źle ponieważ istniejąca ilość jest przysłowiową kroplą w morzu potrzeb... miasta o największym w Polsce odsetku przestępczości nieletnich.

Poradnie zatrudniają pedagoga, psychologa i lekarza. Zespół w takim składzie ma coś pomóc, wtedy gdy ani dom, ani szkoła nie dają rady. Poradnie obejmują bowiem dzieci sprawiające różnego rodzaju kłopoty wychowawcze. 228 takimi „kłopotliwymi“ pacjentami opiekowała się np. w roku zeszłym poradnia na Bałutach. Zdarza się, że przyczyną określonego niepożądanego zachowania się dziecka (wagary, ucieczki z domu, kradzieże, chuliganie, nie), są błędy wychowawcze popełniane przez dorosłych, czasem znów — choroba dziecka. Każdy pacjent to odrębny problem, którego często nie można rozwiązać nie z winy poradni. Moc jej bowiem kończy się wtedy, gdy np. dziecko trzeba odizolować od środowiska rodzinnego, od szkolnie nań wpływających rówieśników, zaopiekować się nim od rana do wieczora itp. To właśnie jest główna przyczyna kłopotów pracowników poradni. Pensje, sprawy organizacyjne, nawet fakt, że ma być reorganizacja (mamy nadzieję, że na korzyść — poradniom!) są dla nich drugorzędne.

Instytucji wychowawczych — za mało. Ich wachlarz — ograniczony. Nie ma na przykład półinternatów, gdzie by dziecko, które z różnych względów tego potrzebuje, mogło przebywać cały dzień. Stały brak miejsc w zakładach specjalnych nie pozwala rozwinąć prawdziwie profilaktycznej akcji.

„Jeśli nadal lekceważyć będziemy problem dzieci moralnie zaniedbanych, to stanie my w obliczu konieczności znacznej rozbudowy zakładów poprawczych i wiezion dla re-edytywistów“ — tak pisał prof. dr S. Batawiał w podsumowaniu badań nad 50 nieletnimi przestępcami z Łodzi i zwolnionymi z zakładów poprawczych i wychowawczych 100 przestępcami z Warszawy. Wnioski z tych badań, zakończonych 2-3 lata temu, są niestety aktualne dla Łodzi i dziś.

Większość badanych pochodziła ze środowisk rodzinnych, które mogły zapewnić raczej antywychowanie niż wychowanie. Niemal połowa miała ojców alkoholików. Zdecydowana większość matek (wśród łódzkich badanych — 70 proc.) pracowała, niepomysłnie wypadła analiza stosunku uczucia do rodziców do dzieci itp. Jeden z wniosków badań dotyczył więc ścisłej współpracy szkoły z porządnymi i społecznymi wychowawcami. Bez których od nauczycieli szkół podstawowych niepodobna oczekiwać właściwej oceny istniejących trudności (dla przykładu 85 proc. badanych — wagarowało, 57 proc. — uciekało z domu, losem tych dzieci jak stwierdza prof. Batawiał, nikt się nie zajął należycie).

Ala — w Łodzi są na razie 3 poradnie. Powiedzmy, że będzie 5, (Warszawa ma podobnych 10), to i tak za mało. Poza tym ich moc kończy się w pewnym punkcie.

Na naszych łamach możemy o tym tylko napomknąć.

INICJATYWA do PODJĘCIA

Nie tak dawno w wywiadzie z prof. dr Sieroszewskim opublikowaliśmy jego wezwanie do wszystkich kobiet, które ukończyły 30 rok życia, o podanie się okresowym badaniom lekarskim w celu zabezpieczenia się przed zachorowaniem na raka.

Według opinii najpoważniejszych autorytetów lekarskich ten groźny nowotwór może być całkowicie zlikwidowany w pierwszym stadium choroby. Świadcza o tym nie tylko przykłady z różnych klinik europejskich, ale i doświadczenia przeprowadzone przez naszych łódzkich lekarzy. Apel „Odgłosów“ nie pozostał bez echa, bo oto mądra dyrekcja Południowo-Łódzkiej Zakładu Przemysłu Jedwabniczego postanowiła zorganizować w zakładzie masowe badania onkologiczne wszystkich zatrudnionych tam kobiet. Nawiasem mówiąc: inicjatywa ta jest jednym z zobowiązań 1-Majowych w tym zakładzie.

Podobne badania odbyły się swojego czasu w innym łódzkim zakładzie i wykazały poważny stopień zaatakowania tamtejszej kobiecej załogi przez to niebezpieczne schorzenie. We wszystkich wypadkach odpowiednio wczesnego wykrycia choroby kobiety te zostały wyleczone.

Warto więc kontynuować 1-Majową inicjatywę kierownictwa PLZPJ. Może związki zawodowe przejmą stąfale w walce o zabezpieczenie łódzkich włókniarek przed tą niebezpieczną, a w przypadku wczesnego wykrycia, całkowicie uleczalną chorobą?

JESLI CHCESZ ZABEZPIECZYĆ SOBIE REGULARNE OTRZYMYWANIE NASZEGO PIŚMA ZAPRENUMERUJ „ODGŁOSY“ U LISTONOSZA LUB W NAJBLIŻSZYM URZĘDZIE POCZTOWYM. PRENUMERATA WYNOŚI — MIESIĘCZNIE ZŁ. 4.— kwartalnie ZŁ. 12.— półrocznie ZŁ. 21. WPLATY DOKONAJ NA KONTO „RUCHU“ — PRÓŁÓDŹ VII-6-579.

Redaguje Zespół * Wydawca: „Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka“ * Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79 * Warunki prenumeraty: miesięcznie ZŁ. 4.—, kwartalnie ZŁ. 12.— * Redakcja nie zamawia rekompensacji nie zwraca * Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPK „Ruch“ — z zaliczeniem na „Odgłosy“ Druk: RSW „Prasa“ — Łódź, Zwirki 17 * Zam. 1094 IV A 4

ODGŁOSY

tygodnia

HASŁO i RZECZYWISTOŚĆ

Szereg naszych zakładów uważa postęp techniczny za zbyt ciężki kawałek chleba, aby się tą sprawą serio zajmować. Fundusz postępu technicznego w łódzkim przemyśle metalowym wyczerpalimy w roku 1961 zaledwie w 71,5 proc. Proszę sobie wyobrazić, że Zakłady Sprzętu Motoryzacyjnego nr 2 wydały na postęp techniczny tylko 31,5 proc. posiadanych sum, Zakłady „Elester“ — 40 procent Fabryka Urządzeń Budowlanych — 47 procent.

W przemyśle lekkim sprawa przedstawia się lepiej, ale też nie najlepiej. Przemysł czesankowy wydał na postęp techniczny 84 procent posiadanych sum, jedwabniczy 88,9 proc. Dlatego nie bardzo rozumiemy, dlaczego słychać wołania o nowe miliony, kiedy stare leżą bezużytecznie.

Nie jesteśmy czarnowidzami, w wielu zakładach nowa myśl techniczna świeci triumfy. W przemyśle włókiennym zgłoszono ubiegłego roku 317 wniosków racjonalizatorskich, a 299 zrealizowano, co przyniosło 5,5 mln czystego zysku. Umiemy już w Łodzi idealnie usuwać zanieczyszczenia z sierści wielbłądziej, opracowaliśmy nową technologię produkcji przędzy nr 200 dla potrzeb przemysłu kablowego i wyeliminowaliśmy w dużej mierze import. W przemyśle bawełnianym zastosowano w ub. roku 825 wniosków racjonalizatorskich, czysty zarobek z tego tytułu — 19.724 tys. złotych.

Widać więc, że główki pracują. Szkoda tylko, że nie wszystkie.

1 MINUTA = 1 ODPIS

Odwiedziliśmy ostatnio pewne biuro, gdzie postęp techniczny zawitał nie na zasadzie państwowo-twórczego hasła, ale uświadomionej i docenionej konieczności. Oczywiście jest to postęp na mikroskali i jeśli go kojarzymy z wyżej wspomnianym, to dla zwrócenia uwagi na pewien szczególny aspekt sprawy.

Chodzi o Państwowe Biuro Notarialne przy ul. Nowotki 21. Liczba czynności tego biura rośnie z roku na rok wraz z porządkowaniem wszelkiej dokumentacji prawnej, instytucjonalnej i prywatnej. Wystarczy powiedzieć, że w porównaniu z rokiem 1955 wzrost czynności PBN w Łodzi jest dziesięciokrotny. Wzrost ten osiągnięto przy mniejszym ilościowym składzie pracowniczym m. in. dzięki postępowi w technice pracy biurowej, który jest osobistym hobby kierownika Biura — notariusza Stanisława Kurpiela. Przedmiotem zazdrości dla wszystkich biur może być np. rzadka w Polsce fotokopiarka marki „Duplo-Record“, produkująca odpis dokumentu w ciągu jednej minuty, która notariusz Kurpiel wyszperał w jakimś pomniejszonym biurze. Z innych upowszechnienia godnych usprawnień wymienić można np. ruchome stelaże do telefonów. Jak wiadomo, biura nasze są zagęszczone, stoją w nich po dwa, trzy biurka i wobec wiadomej sytuacji mieszkaniowej długo jeszcze tak być musi. Praca umysłowa w takim wielobiurowym pomieszczeniu, np. odbieranie telefonów, jest ogromnie utrudniona. Dzięki zastosowaniu ruchomych dzwigni nie trzeba zwiększać ilości aparatów. Telefon po prostu podjeżdża dowołanego pracownika. Mała rzecz, a oszczędność czasu i nerwów duża.

Pomyśleliśmy, że gdyby wszędzie postęp techniczny stał się osobistym hobby kierowników, jak to jest we wspomnianym przypadku, postęp ów wyszedłby ze sfery hasła a stał się rzeczywistością.

GRZECZY DOROSŁYCH

Odmłodziliśmy się wyraźnie w latach powojennych, jak rzadko które miasto. Proszę sobie wyobrazić, że 280.000 łódzian, a więc 39 procent ogółu, urodziło się po roku 1936. Jeżeli odliczyć oseski, maluchy, średniaki i starszaki, zostanie nam i tak 209.500 obywateli w wieku 7-25 lat. Cóż oni robią w naszym mieście? W szkołach podstawowych uczy się 103.900 chłopców i dziewcząt, w pozostałych 45.620. Pracuje — 42.200 młodych ludzi, a 8.520 studiują na wyższych uczelniach.

Mamy więc dużo młodzieży, ale czy mamy ruch młodzieżowy? I owszem, wiele się w tym względzie zmieniło na korzyść. Nasza łódzka organizacja ZMS liczy obecnie 25.854 członków. Kto zaczął? Otóż — 14.599 to młodzież robotnicza. Duży sukces! 6.528 to uczniowie. Sukces znacznie mniejszy, jeżeli zważyć, że olbrzymia większość młodych uczy się właśnie pilnie w szkołach, gdyż niebawem zaskwitną kasztany. 3.225 ZMS-owców to pracownicy umysłowi. Niezłe! Ale studentów tylko 1.502. Całkiem kiepsko. Czy studenci nie chcą pracować w ZMS? Rzecz polega na czym innym, po prostu Komitety Uczelniane do niedawna spały.

Spół także całkiem poważni ludzie, którzy z uporem zapominają o młodości naszego miasta. No bo tak to jest: wartość czynów społecznych młodych ludzi za rok ubiegły przekroczyła 3 mln złotych, o tytuł Brygady Pracy Socjalistycznej walczyli ponad 3.500 ZMS-owców. Tymczasem do rozmaitych władz nikt ich nie prosi. Podajemy dla przykładu: na 3.759 członków egzekutyw POP młodzież reprezentuje raptem 97 osób, w tym 95 ZMS-owców.

Trzeba się obudzić ze snu zimowego, już wiosna!